

# DZIS i JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI

Warszawa, 17 września 1950 r.

Nr 37 (251)

MATEUSZ T. MILEWSKI

# NEOMALTUZJANIE

Przez setki tysięcy lat życie ludzkie było się zaledwie na niezmiernych obszarach puszcz leśnych klimatów uprzywilejowanych Starego Świata. Błądziły po nich nieliczne grupy naszych przodków żyjąc ze zbieractwa, rybołówstwa i prymitywnego łowiectwa. Ich bronią był kij i kamień. Ich pierwszym wynalazkiem umiejętność użytkowania i rozniecania ognia, który miał dla nich wielokrotnie większe znaczenie niż dla nas energia atomowa. Ogień uniezależnił praczłowieka w pewnym stopniu od panowania klimatu i pozwolił na zajęcie większych obszarów naszej planety.

Dopiero dziesięć czy piętnaście tysięcy lat temu zaczynała błyskać pierwsze jaśniejsze płomyki cywilizacji. Spośród tysięcy rozmaitych traw, ziół i roślin człowiek wybrał i zaczął uprawiać kilkadziesiąt gatunków, które służyły mu za pożywienie albo dostarczały włókna na ubranie. Spośród olbrzymiej rzeszy ssaków, ptaków i owadów poddał swojej woli te, które mogły dostarczyć mu pożywienia, wełny albo siły mięśni potrzebnej do uprawy roli. Jako sposób zdobywania żywności obok zbieractwa, myślistwa i rybołówstwa zjawia się rolnictwo, hodowla i pasterstwo. W życie ludzkości wkracza nowy czynnik, decydujący o jej dalszym rozwoju — praca. W ślad za pracą zjawia się pierwsze zwiastuny kultury i cywilizacji — narzędzia i podział pracy. Cały nasz dobrobyt dzisiejszy i wszystkie wyody życia za wdzięczamy jedynie i wyłącznie pracy ubiegłych pokoleń.

Rolnictwo, ten olbrzymi postęp w zdobywaniu żywności, nie był bynajmniej równoznaczny z jej dostatkami... Głód — to stary i nieodstępny towarzysz człowieka. Bez przesyady rzecz można, że na przestrzeni całej historii znakomita większość ludzi vegetowała na granicy między życiem i śmiercią, zarówno na Wschodzie jak i na Zachodzie.

W roku 436 przed Chrystusem panował tak straszny głód w Rzymie, że ludzie tysiącami rzucali się do Tybru. Później przez całe średniowiecze kleska ta dręczyła Europę. Poszczególne państwa nawiedzane były głodem blisko 280 razy w ciągu 600 lat, czyli prawie co dwa lata jałkaś część ludności Europy była nim dotknięta.

Jeszcze gorzej przeżywał kleski głodowe Wschód, szczególnie narażony na działania kaprystów przyrody. W Chinach prawie zawsze były one rezultatem powodzi, w Indiach posuchy. Tak jak dobrodziejstwem Europy są wiatry zachodnie, które przynoszą wilgoć z Atlantyku, dobrodziejstwem Azji południowo-wschodniej są deszcze, przynoszone przez monsuny. Jeżeli one zawiodą, głód jest nie unikniony.

W latach 1661 — 62 w ogóle nie było deszczu. W XIX w. zmarło z głodu 100 milionów Chińczyków, z tego w jednym tylko roku 1877 dziesięć milionów. Od r. 108 przed Chrystusem do 1911 r. było 1828 głodów w Chinach, czyli przeciętnie co rok jakaś część ludności była dotknięta tą kleską.

Wiek XI, ciężki dla Europy, był też katastrofalny dla Egiptu i Indii, gdzie nawet rozpanoszyło się ludożerstwo. Głody w Indiach następują w stałych odstępach i przypisywane są wpływowi plam, które pojawiają się na słońcu. Co pięć albo dziesięć lat przychodzi „mały“ głód, co pięćdziesiąt albo sto „wielki“. W roku 1769 zmarło 10 milionów ludzi, czyli

jedna trzecia ludności Bengalu. Najstraszliwa jednak kleska dotknęła Indie w roku 1790 — 92, kiedy doszło do tego, że nikt już nie grzebał zmarłych i nikt ich nawet nie liczył.

W różnych okresach czasu próbowano zwalczać widmo głodu różnymi systemami ekonomicznymi i teoriami filozoficznymi. Gdy pod koniec XVIII w. sytuacja żywnościowa Europy rzeczywiście stawała się groźna i doprowadziła nawet do rozruchów głodowych, w Anglii pojawiły się nowe teorie o konieczności zmniejszenia ilości urodzin. Opracował je i opatrywał po nurych przepowiedniach na przyszłość pastor anglikański Malthus (1798). Twierdził on, że ilość ludzi na świecie wzrasta z postępem geometrycznym, podczas gdy środki żywności mogą przybywać tylko z postępowym arytmetycznym. Ludzie się mnożą, a nowe obszary ziemi można tylko dodawać, jeżeli w ogóle brać pod uwagę ich „przyrost“. Dowodził, że te nowe tereny są bardzo ograniczone, a po każdym zbiorze ziemia jałowuje. Jedyny ratunek ludzkości widział w ograniczeniu ilości urodzeń, ściślej mówiąc w ograniczeniu liczby zawieranych małżeństw.

Życie zadło kłam pauryku przepowiedniom Malthusa, które taka panikę wzbudziły wśród współczesnych. Jedyne w XIX w. kleski w Europie to straszliwa susza w Rosji w latach 1891 — 92 i „wielki głód“ w Irlandii w 1845 r. spowodowany przez nieurodzaj ziemniaków. Przez inne kontynenty przechodziły wprawdzie fale głodu, mimo tego ogólna ilość mieszkańców naszego globu wzrosła z ok. 900 mil. do życia Malthusa do blisko dwu i pół miliardów w chwili obecnej.

### REWOLUCJA PRZEMYSŁOWA

Przez cały czas dziejów dążył człowiek do tego, żeby pomnożyć wale siły swoich mięśni i najcięższą pracę przerzucić na siły przyrody. Oswoił zwierzęta pociągowe, wynalazł uprząż i jarmo, blok i dźwignię, wiatrak i młyn wodny. Ale dopiero maszyna parowa ukoronowała jego wysiłki.

Maszyna parowa zrewolucjonizowała produkcję przemysłową, stworzyła nowy ustrój społeczny — kapitalizm. Maszynizacja produkcji i powstanie rynku światowego rozpoczyna nową erę szalonego postępu techniki. Na usługi oddane zostają olbrzymie siły przyrody i cała potęga nauki. Cywilizacja materialna wybucha jasnym płomieniem, który w błyskawicznym tempie obejmuje całą powierzchnię ziemi.

Kolej żelazna, ta maszyna parowa na szynach, połączyła państwa a nawet kontynenty w jeden żywy i zwarty organizm gospodarczy. Ta sama maszyna wbudowana w kadłub statku dała początek kolosalnemu rozwojowi nowoczesnej żeglugi morskiej, która połączyła kontynenty znacznie silniejszymi węzłami niż malownicze żaglowce. Kolej żelazna i parowce pomnożyły w niebываły sposób możliwości przewozu surowców i wyrobów przemysłu na wszystkie rynki świata — produkcja i wymiana przyjmują nieznane dotąd rozmiary.

W zamkniętym kole przyczyn i skutków, działających bez przerwy i wzajemnie się warunkujących, Rewolucji Przemysłowej towarzyszy kolosalny przyrost ludności i masowa emigracja z Europy do krajów zamorskich, zjawisko niespytkane dotąd w dziejach świata.

Liczba ludności w Europie wzrosła znacznie szybciej niż w pozostałych kontynentach. W ciągu o-

statnich trzystu lat siedmiokrotnie — w innych częściach świata tylko czterokrotnie. Na początku XIX wieku liczyła Europa 187 milionów mieszkańców, pod koniec 400 milionów.

Ekspansja liczbową w początkach rewolucji przemysłowej idzie równoległe z ekspansją geograficzną. Europejczy ci coraz intensywniej kolonizują nowe, słabo zaludnione ziemie, odkryte pod koniec XV i w ciągu XVI wieku. Emigracja nabiera charakteru największych w dziejach świata wędrowek, będących przyczyną i skutkiem kolosalnego rozwoju żeglugi. Maksymalne nasilenie tych wędrowek przypada na drugą połowę XIX wieku, kiedy to około 50 milionów Europejczyków wyemigrowało na nowe kontynenty, głównie do Ameryki Płn. Ludność Stanów Zjednoczonych wzrosła z 4 milionów w roku 1790 do 150 w 1950.

Mimo tak wielkiej emigracji od połowy XIX wieku przeludniona Europa nie może już wyżywić swoich mieszkańców własną produkcją rolniczą i zaczyna sprowadzać coraz większe ilości środków żywności z krajów zamorskich. Koloniści uprawiający europejską techniką dziewicze tereny zajmowanych ładów uzyskują olbrzymie nadwyżki żywności na eksport, pozwalające na wyżywienie ciągle wzrastającej liczby mieszkańców Starej Europy. U progu XX wieku przeciętny Europejczyk pije herbatę chińską, kawę brazylijską, je chleb z mąki amerykańskiej, mięso argentyńskie, ubiera się w bawełnę egipską, wełnę australijską, skórę rosyjską. Za produkty żywnościowe i surowce płaci wyrobami własnego przemysłu.

Rewolucja przemysłowa spotęgowała również i tak wielką przewagę Europy Zachodniej nad ludami „kolorowymi“. W wieku XIX państwa europejskie dokonały ostatecznego podziału „wolnych“ terenów kolonialnych. W obrót gospodarczy kapitalizmu wciągnięte zostają najodleglejsze zakątki kuli ziemskiej. Tysiące nieci wiążą świat w jedną zwartą całość, jeden system, którego wszystkie części są od siebie nawzajem zależne. Gospodarka w skali światowej staje się faktem. Kapitalizm przechodzi w ostatnią fazę swego rozwoju — imperializm. Wyżysk ludów „kolorowych“ przez imperia kolonialne przybiera w zasadzie zupełnie inną postać niż grabież, rozboje i oszustwa z pierwszego okresu wielkich odkryć geograficznych. Na terenach gdzie kolonizatorzy napotykaliby stare zacofane gospodarstwo kultury, zbyt gęste zaludnienie lub inne trudności dla osadnictwa ekspansja ta przybiera charakter ekonomiczny. Krajami takimi są Chiny, Indie, Indochiny, Indonezja i prawie cały kontynent Afryki.

Zasadniczą linią polityki kolonialnej imperializmu jest dążenie do maksymalnej eksploatacji bogactw naturalnych krajów zamorskich i do ekonomicznego wyżysku ludności tu byleczej. Na każdego mieszkańca Zachodniej Europy pracuje w koloniach kilkunastu „kolorowych“, a wszystkie owoce ich pracy jak również olbrzymie zyski ze wszystkich przedsiębiorstw płyną do metropolii. Przy mierzące głodem ludy „kolorowe“ mają w oczach imperialistów tylko dwójaką wartość: jako siła robocza przy eksploatacji bogactw naturalnych własnego kraju d. a „białych panów“ i jako siła nabywcza tanich wyrobów rozwijającego się żywiołowo przemysłu europejskiego. Z końcem XIX wieku na arenie świata zjawia się nowy imperializm

— amerykański, najbardziej dynamiczny i najbardziej żarłoczny, bo najmłodszy.

### I REWOLUCJA ROLNICZA

Przez tysiące lat istnienia ludzkości nie postąpiła właściwie ani kroku w podniesieniu wydajności ziemi. Jedynym znanym sposobem zdobywania większej ilości chleba było nadal zdobywanie nowej, nie wyczerpanej ziemi i handel wymienny. Wobec dynamiki przyrostu naturalnego i wyjąłowanej wciąż ziemi coraz częstsze i groźniejsze ukazywało się widmo głodu. Ale geniusz twórczy myśli ludzkiej jak zawsze tak i w tym wypadku uratował sytuację.

Rewolucja w rolnictwie zaczyna się od roku 1840, kiedy po wielu latach żmudnych dociekań Jusus Liebig opublikował swa pracę, udowadniając w niej, że do życia roślin poza powietrzem i wodą niezbędną jest azot, kwas fosforowy, potas i wapno, że roślina czerpie je z ziemi — czyli wykazał, dlaczego ziemia długo użyta kowana ubożeje i jak te braki uzupełnić. Ludzkość, która przez tysiące, rzecz można, lat nie zrobiła nawet kroku na drodze wyzyskania możliwości posiadanej ziemi wykonała skok nieprawdopodobny. Najwymowniejsze są cyfry: ilość ugorów z 33 proc. w wieku XVII i XVIII spadła do 4,5. W Niemczech w roku 1910 zebrano 8 milionów ton zboża więcej, niż w r. 1885, czyli o 40 proc. więcej. Na fundamentach założonym przez Liebiga rozbudował się cały gmach nowoczesnej chemii rolnej i powstał olbrzymi przemysł sztucznych nawozów, dający zarówno nowe możliwości wyżywienia jak pracy dla milionów ludzi. Rewolucja przemysłowa dała rolnictwu, uzbrojenie techniczne, które pozwoliło na mechaniczną uprawę roli. W tym samym czasie zdołano potroić wydajność mleczną krowy, powiększyć dziesięciokrotnie ilość cukru otrzymywanego z trzciny i dziesiątki innych osiągnąć, które brak miejsca nie pozwala tu wymienić. Nauki rolnicze, kryjące się dotychczas wstydliwie w cieniu, znalazły wreszcie w wieku XIX zaszczytne miejsce w służbie ludzkości.

Sytuacja żywnościowa, która w XIX w. poprawiła się znacznie, w chwili obecnej znów pozostawia wiele do życzenia. Jeżeli założymy, że zawsze połowa ludzkości była niedożywiona, obecnie dotyczy to 2/3. Tylko 1/3 ludzi na świecie otrzymuje dziennie 1750 kalorii, minimum potrzebne do normalnego funkcjonowania organizmu. Na całym obszarze Indii utrzymuje się stan chwiejnej równowagi między życiem a śmiercią. Do czasu zwycięstwa ostatniej rewolucji w Chinach i zasadniczej reformy rolnej, która oddała chłopom ziemię przeciętny Chińczyk miał pożywienia za dużo żeby umrzeć, a za mało żeby żyć.

W ciągu ostatnich 100 lat ludność ziemi podwoiła się mimo dwu wojen światowych, w XX wieku liczba ludzi wzrosła o ca 800 milionów, a — co najważniejsze, skala przyrostu rośnie stale i bez przerwy od 300 lat. Obecnie skala ta wynosi około 1 proc. w stosunku rocznym, czyli co rok przybywa na ziemi około 23 miliony ludzi, t. j. tyle ile liczy cały naród polski.

### DROGA DO OCALENIA...

Problem wyżywienia tej ciągle wzrastającej masy ludzkiej napawa świat kapitalistyczny skrajnym pes-

symizmem. Pseudomyśliciele Zachodu coraz intensywniej wypowiadają się za sterylizacją. Publikują niezliczone ilości na kolanie formułowanych rozważań, które podniecają łatwowapalne umysły amerykańskie i doprowadzają do najbardziej absurdalnych wniosków. W szeregach tzw. neomaltuzjanów widzimy takie nazwiska jak: Bertrand Russel, Julian Huxley, Fairfield Osborn, ale najpopularniejszym wśród nich jest William Vogt, konserwator gleby z ramienia Unii Panamerykańskiej, autor książki „Droga do ocalenia“.

Trudno jest polemizować ze wszystkim. Wybieramy Vogta ponieważ jest najbardziej typowy dla mentalności klasy posiadającej krajów anglosaskich i najbardziej popularny. Vogt i jego zwolennicy twierdzą, że pewnego dnia krzywa wzrostu liczby ludności i krzywa spadku wydajności gleby spotkają się, i że w tym momencie nastąpi koniec cywilizacji. Ale jego horyzont myślowy jest bardzo wąski, bo patrzy na całe zagadnienie tylko przez pryzmat ochrony gleby i to przede wszystkim gleby amerykańskiej.

Nigdzie na świecie nie można tak jak w Stanach zaobserwować ogromu zniszczenia, do jakiego doprowadza gospodarka rabunkowa gleby.

Ziemie południowych stanów wycieńczyła uprawa bawełny, na Zachodzie zaś powstały tak zwane „had lands“, nagie parowy, których glebę spłukała woda, na preriach zaś piaszczyste niecki, których próchnica „przeminała z wiatrem“. W maju 1933 roku mieszkańcy Nowego Jorku i Stanów Atlantycznych zaskoczeni zostali ciemną mgłą mialkiego pyłu, która przysłoniła słońce. To wierzchnia warstwa gleby z Wielkich Równin pedzona była wiatrem do morza po to, żeby nigdy nie powrócić. 400.000 ludzi straciło swoje farmy zamienione na pustynie. Wycięcie lasów zmieniło klimat i odsłoniło zaplecze Nowego Jorku na burzę śnieżną i piaszczystą. Szaleńcze sposoby uprawy prerii i trzebień lasów doprowadziły do tego, że 6 proc. powierzchni Stanów zostało bezpowrotnie stracone dla uprawy. Dziś straty dochodzą do dwustu tysięcy ha rocznie. Mechaniczna uprawa roli, ta błogosławiona zdobycz rewolucji przemysłowej, w rękach żarłocznej gospodarki kapitalistycznej doprowadziła ziemię amerykańską do ruiny.

Rabunkowa gospodarka gleba w Ameryce Łacińskiej jest jakby jeszcze bardziej przerażająca. Podobnie rzecz stoja w Afryce i Australii. W październiku np. 1948 roku statki na południowym Pacyfiku zaobserwowały olbrzymią chmurę pyłu tysiące metrów wysoką, tysiące kilometrów długą i szeroką. Były to wierzchnie warstwy ziemi australijskiej, porwane przez wiatr na skutek wyniszczenia 75 do 90 proc. orłinności przez owce, w nadmiernych ilościach wypasane na preriach.

Jakie są przyczyny tego zubożenia ludzkości? Odpowiada na to pytanie Vogt na pierwszych stronach swej książki (36): „jednym z najbardziej decydujących czynników — pisze do słownie — w ruinie gleby jest system kapitalistyczny, jest to zarazem jego największe i najgroźniejsze oskarżenie. Wolna konkurencja i chęć zysku wyniszczyły naszą ziemię“. Czy może, w dalszym ciągu książki, po przedstawieniu najbardziej makabrycznego obrazu przyszłości rodzaju ludzkiego wyciąga



Vogt wnioski, aby system kapitalistyczny poddał najskromniejszej bo daj rewizji? Uchowaj Boże! Jedynie środki zapobiegawcze jakie proponuje to: konserwacja gleby, jako że jest to business i drugi, na który kładzie znacznie większy nacisk — ograniczanie przyrostu naturalnego.

### ...TO EPIDEMIE, WOJNY I STERELIZACJA

Strach przed przeludnieniem nasze go globu zabija w teoretykach neomaltuzjańskich najprymitywniejsze ludzkie uczucia. Rozmowania ich po za tym tak roją się od błędów, że trudno ze wszystkimi polemizować. Warto natomiast zwrócić uwagę na zbrodnie, jaką popełniają stawiając przed oczyma ludzkimi wizje wyniszczenia globu, na którym tłumy wyędźniałych postaci walczą o odrobiny pożywienia; że tendencyjnie wywołują jakieś straszliwe zobojętnienie dla otaczającego świata. Człowiek opanowany wizjami apokaliptycznych wróżów amerykańskich ożywia się tylko na myśl o tych właśnie koszmarach przyszłości i cieszy się skrycie ze wszelkich kataklizmów, które w jego oczach „nieco“ ułatwiają przyszłość. A równocześnie są pewnym wytłumaczeniem dla tych, którzy przekreślając wszelkie prawa człowieczeństwa utrzymują, że jedyny ratunek może leżeć w pionach podobnych tym, które płonęły nad Hiroshima.

Wojny, epidemie i głód — oto najskuteczniejsze w oczach neo-maltuzjanów środki. Kataklizmy, oczywiście kataklizmy wielkie, które by znożyły co rok 20 — 30 milionów ludzi. Głód w Bengalu w r. 1943, w czasie którego zmarło „tylko“ dwa miliony ludzi jest pozycją nieważną. I ostatnia wojna światowa jest wojną przegrana, gdyż mimo niej od 1939 r. przybyło na Ziemi ok. 180 milionów ludzi. Cyfra „prerażająca“. Vogt z prawdziwym bólem mówi o tym, że malaria usunięta z wielu terenów, że prawie zniknęła żółta febra, że kończy się ospa, a jednocześnie pisze, że największym bogactwem Chile jest wysoki stopień śmiertelności jego mieszkańców. Sugeruje wprowadzenie nagród czy premii za sterelizację, pozostawianie ludów pierwotnych na pastwę wszystkich klęsk, które je stale gnieją, warunkowanie udzielania pomocy Marshalla ograniczeniem urodzeń.

Czy teorie neomaltuzjańskie mają być stosowane w Ameryce? Nic podobnego! Wojny, epidemie i sterelizacja to jest recepta dla nas: Europejczyków, Azjatów i Murzynów. Recepta, która ma być narzucona nam siłą, po to żeby utrzymać system kapitalistyczny w Ameryce.

Zaczął się w Japonii, gdzie pod naciskiem amerykańskich władz okuacyjnych w styczniu roku 1949 weszła w życie ustawa o przymusowym obowiązku kontroli przyrostu naturalnego. Ustawa, mająca na celu „podniesienie stanu zdrowia w narodzie japońskim“. Już w ciągu pierwszego półrocza przeszło 56 tysięcy ko biet otrzymało urzędowe pozwolenie na przerwanie ciąży, motywowane „względami gospodarczymi“. Cyfra mówi za siebie.

Chociaż teorie neomaltuzjańskie mają poparcie niektórych sekt chrześcijańskich w świecie anglosaskim, nie mogą przekonać człowieka uczciwie myślącego, nie mogą też być uznane ani przez Kościół Katolicki ani przez obóz socjalistyczny.

W stosunku do tego zagadnienia Kościół Katolicki i obóz socjalistyczny zajmują stanowisko identyczne. Stosunek obozu socjalistycznego jest jasny i wyrażony niemal codziennie w artykułach prasowych i pracach naukowych, a niewzruszoność zasad Kościoła nie wymaga przecież komentarzy.

Zastanówmy się poważnie jaka różnica istnieje pomiędzy doktryną faszyzmu i hitlerizmu, a teoriami głoszonymi przez neomaltuzjanów! Czy ba tylko w metodach działania — tam komory gazowe i obozy śmierci, tutaj bomba atomowa, epidemie i sterelizacja. Teorie neomaltuzjańskie są w pewnym sensie niebezpieczniej, bo bardziej perfidne.

### NIE TĘDY DROGA...

Teorie neo-maltuzjańskie są nie tylko amoralne, są z gruntu fałszywe. Dobrobyt ludności nie zależy od gęstości zaludnienia i przyrostu naturalnego, a od zupenie innych czynników, które omówimy w innym miejscu. Na razie garść suchych faktów

nie ulegających wątpliwości: Jawa miała w roku 1816—5 milionów mieszkańców a dzisiaj ma 50. W ciągu 134 lat ludność jej wzrosła 10-krotnie i gęstość zaludnienia wynosi około 400 mieszkańców na jeden km kw. Siedlisko Borneo ma tylko 5 mieszkańców na 1 km kw. i niższą stopę życiową niż Jawa. Szwajcaria ma 800 mieszkańców na 1 km kw. ziemi uprawnej, a Szwecja 160. Obydwa kraje mają wysoką stopę życiową i bardzo niski przyrost naturalny. Chile ma 193 mieszkańców na 1 km kw. ziemi uprawnej, niska stopę życiową i bardzo wysoki przyrost naturalny. W Japonii żyje 1000 ludzi na 1 km kw. ziemi uprawnej, w Indiach 200, a w Danii 130. Ale z jednego ha Indus zbiera zaledwie 1/4 tego ryżu co Japończyk i 1/5 tego zboża co Duńczyk. „Ziemia daje tyle ile wart jest człowiek, który ją uprawia“ mówi stare chińskie przysłowie. Mądrość przysławia chińska go nie straciła niczego ze swojej wartości, ale dzisiaj w połowie XX w. trzeba do niego coś dodać... narzędzia pracy — traktory, kombajny, plugi wieloskobowe, nawozy sztuczne, irygacja, elektryfikacja i to wszystko na co nie ma jeszcze nazwy! Co przyniosą przyszłe pokolenia.

Falszowanie rzeczywistości przez neomaltuzjanów polega na zbyt pochopnej generalizacji opartej wyłącznie na cyfrach dowolnie i tendencyjnie wziętych ze statystyki, podczas gdy każde zagadnienie trzeba traktować regionalnie i oprzeć na dokładnej znajomości terenu. Co ma nam rozumieć przez słowo przeludnienie? Bo jeżeli brak żywności na danych terenach, brak wynikający nie tylko z nadmiaru mieszkańców ale często i w pierwszym rzędzie z ich nieudolności gospodarcej — to setki ludzi dzikich „przeludnia“ olbrzymie, nieuprawiane jeszcze obszary w Ameryce Płd., Eskimosi, lody polarne, a nasi jaskiniowi praojcowie „przeludniali“ Ziemię...

Nie ziemi jest za mało, tylko w wielu krajach ziemia ta jest źle uprawiana, a kapitalistyczna rabunkowa gospodarka glebą może doprowadzić do katastrofy. Obliczeń przyszłości nie należy opierać na tym, ile ziemia produkuje, ale ile produkować może.

Żywności nie jest za dużo, pomyślmy jednak ile jej jeszcze ulega zniszczeniu i zmarnowaniu. Na uprawnych polach Hindustanu wypasają się stada świętych krów, tysiączne szkody wyrządzają małpy i inne zwierzęta leśne, ale wierzenia zabraniają tybulcom z nimi walczyć. Na całej kuli ziemskiej gryzonie, owady, najprzeróżniejsze szkodniki roślin niszcza rocznie około 65 milionów ton zboża, mogącego wyżywić setki milionów ludzi. W Chinach 10 proc. najlepszej ziemi zajmują groby przodków, drogi i granice między działkami. O ten obszar można by powiększyć pola uprawne, a mechaniczna uprawa roli podniosłaby jej wydajność o 25 proc.

O teorii neomaltuzjańskiej wspominaliśmy nie dla budzenia niepokojów — nieuzasadnionego czy raczej nierozumnego — ale dla zobrazowania mentalności Zachodu, mentalności ludzi, którzy z jednej strony krzyczą na alarm wobec widma głodu i odbierają szaremu człowiekowi wiarę w przyszłość, a więc i chęć do życia i pracy, z drugiej zaś miast rzeczowo starać się wspomóc tych, którzy naprawdę tej pomocy potrzebują, z zawitych i niepojętych dla rozsądnego człowieka względów obrony jakichś zagrożonych kapitałów, niszczą miliony ton żywności. Cóż za potworny paradoks!

### CUKIER KRZEPI!

W książce wydanej w 1934 r. pt.: „Materiał ludzki w gospodarce światowej“. Głowie tak charakteryzuje bogactwo rolnictwa amerykańskiego: „Siedem milionów farmerów Stanów Zjednoczonych i Kanady, czyli mniej niż 4 proc. pracowników rolnych świata, produkuje 70 proc. światowej produkcji kukurydzy, 60 proc. bawełny, 50 proc. tytoniu, 40 proc. owsa i siana, 25 proc. pszenicy, 10 proc. ziemniaków, 6 proc. żyta. Jeżeli przyjmiemy pod uwagę mięso, nabiał, owoce i jarzyny, to przekonamy się, że 1/3 artykułów spożywczych świata przechodzi przez ręce owych 4 proc. pracowników rolnych... Roczne spożycie na osobę w Stanach Zjednoczonych wynosi 1.400.000 kalorii. Taką ilość kalorii możemy otrzymać z 0,11 ha buraków, 0,14 ha trzcin cukrowej, (zajęte „cukier krzepi“) 0,30 ha ziem-

niaków, 0,32 ha kukurydzy, 0,58 ha pszenicy, 0,50 ha pomidorów, 0,94 ha jabłoni. Jeżeli przejdziemy do artykułów hodowlanych, to by powyższą ilość kalorii otrzymać ze świni, trzeba poświęcić na paszę 1,04 ha, z mleka 1,57 ha. z mięsa wołowego — aż 7,20 ha. Amerykanie spożywają dużo mięsa i nabiału. W Ameryce na jednostkę wypada 1,2 ha ziemi uprawnej i 4 ha paszy, czyli razem 5,2 ha, ale Ameryka eksportuje wielkie ilości zboża. W Niemczech trzeba się zadowolić dziesięć krotnie mniejszą normą 0,52 ha. W Chinach odnośny współczynnik jeszcze silniej maleje i nie przewyższa 0,27 ha. W Japonii zaś spada do 0,1 ha“.

W czasie kryzysu, który w latach 1929 — 33 wstrząsnął systemem kapitalistycznym, w Kanadzie palono pszenicę w lokomotywach, w Brazylii utopiono 80 milionów worków kawy, we Francji zniszczono 11 milionów kwintali zboża, w Stanach Zjednoczonych zabijano rocznie 600.000 krów jedynie po to, żeby zmniejszyć produkcję mleka; Rooseveltowski New Deal zostawił odłogiem 18 mil. ha ziemi uprawnej. Tej orgii zniszczenia nie przerwała nawet wojna — w roku 1942. Argentyna spaliła 8 milionów ton zboża, podczas gdy w Bengalu umierały z głodu miliony Hindusów. W roku 1943 ta sama Argentyna spaliła olbrzymie ilości ziarna wartości 125 milionów funtów szterli. Wkrótce po ogłoszeniu raportu ONZ, że połowa całej ludności Ziemi przymiera głodem i że istnieje już słaba nadzieja utrzymania przy życiu 462 milionów głodujących dzieci.

W St. Zjednoczonych psują się w magazynach ogromne ilości masła, jaj, konserw, gnije 50 milionów ton ziemniaków. W grudniu roku ubiegłego ONZ zwróciła się formalnie do St. Zjednoczonych z propozycją użycia tych produktów dla dożywiania głodujących dzieci, których liczba ciągle jeszcze przekracza 60 milionów. Mr. Hyde, delegat USA, udzielił odmownej odpowiedzi, a prasa amerykańska radziła Organizacji, żeby na przyszłość podchodziła do zagadnienia bardziej „realistycznie“.

W maju 1943 roku z inicjatywy prezydenta Roosevelta powstała Międzynarodowa Organizacja dla spraw Wyżywienia i Rolnictwa, zwana krótko FAO. Zadaniem jej miało być podniesienie produkcji rolniczej, usprawnienie dystrybucji środków żywności, podniesienie poziomu wyżywienia i stopy życiowej całej ludzkości oraz poprawienie warunków bytu ludności wiejskiej.

Niestety FAO nie spełniła pokładanych w niej nadziei. Od samego początku jej istnienia rząd St. Zjednoczonych uniemożliwiał utworzenie Światowej Rady Żywnościowej, chociaż jej realizacja w duchu prawdziwej współpracy międzynarodowej mogła się przyczynić do wykonania zadań FAO.

W grudniu roku ubiegłego generalny dyrektor FAO, Mr. Dodd na zamknięcie plenarnej konferencji FAO w Nowym Jorku oświadczył do słownie co następuje: „mówiłem o milionach głodnych ludzi. Nikt z delegatów nie odniósł wrażenia, że robimy im jakieś nadzieje. Wyraziliśmy im słowa współczucia, ale nie wiele więcej“.

W rezultacie polityki rządu St. Zjednoczonych organizacja, która miała rozwiązać jeden z największych problemów stojących przed ludzkością w drugiej połowie XX wieku została skierowana na ślepy tor. Ale to nie jest powodem do pesymizmu. FAO może być zastąpiona przez inną organizację, zbudowaną na zdrowszych zasadach.

Resumując, sytuację żywnościową wszystkich krajów i narodów można scharakteryzować, dzieląc je na trzy grupy: kraje produkujące więcej, niż mogą skonsumować; kraje deficytowe i trzecie — samowystarczalne. Jeżeli kraje kapitalistyczne, należące do pierwszej grupy nie mogą sprzedać nadwyżki, niszczą ją różnymi środkami. Kraje deficytowe to przede wszystkim kraje, które znajdują się jeszcze, albo niedawno wyzwoliły się z ucisku kolonialnego. Ludy „kolorowe“ giną z głodu, ale nie mogą kupić żywności w krajach kapitalistycznych, ponieważ nie mają za co. Na ich terenach znajdują się wprawdzie olbrzymie skarby przyrody, ale stanowią one „własność“ kapitalistów, którzy od czasów rewolucji przemysłowej eksploatują bogactwa naturalne ludów kolorowych i uważają to za swoje najświętsze prawo. Korzyści z eksploatacji tych bogactw omijają prawych właścicieli,

a płyną do kieszeni tych, którzy i tak mają za wiele. Wypadki w Azji są tego jaskrawym potwierdzeniem.

### KTO JEST BANDYTĄ?

W rezultacie drugiej wojny światowej cały bez mała kontynent Azji wyzwolił się już z ucisku kolonialnego. Wojny wyzwolenie toczą się jeszcze na trzech półwyspach: Malajskim, w Wietnamie i Korci. Z ekonomicznego punktu widzenia wojny te toczą się o to czy zyski z eksploatacji bogactw naturalnych tych krajów mają pozostać w rękach ludności miejscowej, czy też mają być przekazywane do Europy albo Ameryki, do kieszeni kapitalistów, którzy mają „tytuł własności“ do tych bogactw. Wojny te świat kapitalistyczny prowadzi z tą samą bezwzględnością i cynizmem co wojny opiumowe sprzed stu lat. Gdyby Talleyrand wstał z grobu, rozejrzył się w obecnej sytuacji międzynarodowej — to miałby okazję powtórzyć swoje historyczne zdanie pod adresem polityki anglosasów w Azji: c'est pire qu'un crime, Messieurs, c'est une faute!“.

Ruchy wolnościowe narodów kołowych doprowadzają świat kapitalistyczny do wściekłości graniczącej z obłędem. Numer angielskiego tygodnika „Illustrated“ z dnia 24 czerwca rb. jest tego klasycznym przykładem. Jest tak charakterystyczny, że stanowi historyczny dokument chciwości, arogancji i... ślepoty ginącego świata. Artykuł wstępny opisuje walki angielskiej gwardii królewskiej z „bandytami“ na półwyspie Malajskim. Na jednej stronie widzimy ilu stracę pokazującą jeńców — powstańców, zamkniętych w klatce z grubych żelaznych prętów. Kiedy odwracamy kartę na drugiej stronie widzimy zdjęcia ze wspaniałego bału w Paryżu. Artykuł obok informuje nas, że posiadacz akcji kopalni cyny i plantacji kauczuku na półwyspie Malajskim dochód z bału przeznaczają na biedne dzieci, to za miast tej pomocy, której odmówił Mr. Hyde!

W świetle wszystkich faktów wymienionych powyżej mimo woli nasa się pytanie kto właściwie jest bandytą? Czy ludzie wysyłający swoich żołnierzy do kolonii po to, żeby mogli w czerwonych frakach polować na lisy i urządzać zabawy dobrotliwe „na biedne dzieci“, czy ci, którzy walczą o prawo do życia, o garść ryżu dla siebie i własnych dzieci? Nie mamy co do tego żadnych wątpliwości, prasa codzienna stale przynosi wiadomości o bombardowaniu Korei przez bandytów amerykańskich...

Na tym niebezpiecznym zakreśle dziejów, na jakim znalazła się ludzkość dzisiaj w połowie XX w. katolicy, a jest nas około 400 milionów, nie powinni być ani bierni, ani obojętni. Cały konflikt ideologiczny, który podzielił ludzkość na dwa wrogie obozy można sprowadzić do zagadnienia, które prawo jest ważniejsze: czy prawo własności prywatnej jednych ludzi, czy prawo do życia innych ludzi. Wytyczne co do odpowiadzi możemy znaleźć u św. Tomasza, Summa Theologica II — II q. 66 art. I — 7.:

„Dobra, które u bogatych znajdują się w nadmiarze są w istocie własnością biedaków. Bo dobra materialne mają służyć zaspokojeniu potrzeb ludzkich, a nie powinny być gromadzone dla dogodzenia chęci zysku. Celem pracy jest utrzymanie rodziny, a zyski przekraczające tę miarę są niegodziwe. Pogoń za zyskiem, która nie zna granic jest przyczyną wszystkich klęsk społecznych. Prawo własności prywatnej nie jest prawem Boskim ani prawem natury. Jeżeli człowiek znajduje się w potrzebie, jeśli egzystencja jego jest zagrożona, a może być uratowana przez dobra znajdujące się w posiadaniu drugiego człowieka, potrzebujący ma prawo wbrew woli właściciela wziąć to co mu jest do życia potrzebne, czy to jawnie czy w sposób ukryty. I wtedy jeśli się to bierze jawnie to nie jest grabież, a gdy się bierze potajemnie to nie jest kradzież“.

### II. REWOLUCJA ROLNICZA

Walka z głodem, rozpoczęta przez Liebiga, toczy się nadal i każdy niemal dzień przynosi nowe zwycięstwa. Możliwość podniesienia produkcji środków żywności są nieograniczone, osiągnięcia nauki przekraczają najśmielsze nawet fantazje. Przez kilka tysięcy lat istnienia rolnictwa, nie rozporządzając żadną inną wiedzą poza doświadczeniem, człowiek

zajął dopiero najbardziej urodzajne tereny. Ale dla człowieka XX wieku, dysponującego całym arsenałem osiągnięć nowoczesnej nauki, a w nim bornią najpotężniejszą — agrobiologią radziecką — myśl o powiększeniu tego obszaru nie jest częścią fantazji.

Wybuch w bramie Turgajskiej, który zmienił bieg rzek syberyjskich i nawodni olbrzymie tereny środkowej Azji, założenie pasów leśnych na obszarach stepowych ZSRR dla ochrony gleby przed erozją i podniesienia jej urodzajności, wprowadzenie trawopolnych plodozmianów, zmiana systemu irygacji, budowa dwu największych na świecie elektrowni na Woldze, podniesienie wydajności gleby, w wielu wypadkach dochodzące do 35 centarów z jednego hektara, najnowocześniejsza mechaniczna uprawa roli — osiągnięcia, które przynoszą setki milionów hektarów nowej ziemi uprawnej i kolosalny wzrost produkcji płodów rolnych — to dopiero początek. To pierwsze wielkie kroki na drodze, która doprowadzi ludzkość ku zdobyciu wielokrotnie przewyższającym odkrycia Kolumba i jego następców. Słusznie pisze Garin, że podczas gdy w Ameryce pola uprawne zamieniają się na pustynie, w Związku Radzieckim pustynie zamienia się na pola uprawne.

Zmiany jakie zaszły w Związku Radzieckim od wybuchu Rewolucji Październikowej zasługują w pełni na nazwę II rewolucji rolniczej, z której dobrodziejstw w tej chwili nie jesteśmy jeszcze w stanie zdać sobie sprawy.

### CO ROBIĆ?

Gwałtowny przyrost naturalny nie daje powodu do pesymizmu. Matka Ziemia może wyżywić kilka a może nawet kilkanaście miliardów ludzi, jeżeli cała nowoczesna nauka, wiedza i technika będzie oddana na ich usługi. A przy racjonalnej produkcji nie więcej jak 20 proc. ludności będzie musiało zajmować się rolnictwem, żeby wyżywić całą resztę.

Chaos produkcji, kryzysy nadprodukcji, niszczenie już wytworzonych dóbr, właściwe systemowi kapitalistycznemu muszą ustąpić na korzyść racjonalizacji wytwórczości i rozdziału środków żywności. Proces uspołecznienia gospodarki idzie naprzód z nieubłaganą konsekwencją. Każdy postęp: techniczny, społeczny i gospodarczy jest funkcją czasu i jak czas ma ruch jednokierunkowy — tylko naprzód. Jak nie można cofnąć czasu tak i postęp jest zjawiskiem nieodwracalnym. Coraz intensywniej pracują mózgi, coraz więcej mózgowy myśli, coraz większe postępy robi technika, idziemy naprzód, ale droga nasza musi być drogą pokoju, a wszystkie zdobycze cywilizacji i kultury oddane w jego służbę.

Od niepamiętnych czasów jednostka zawsze musiała podporządkowywać swoje interesy indywidualne interesom zbiorowości. Najpierw interesom rodu, potem plemienia, wreszcie narodu. Egoizm narodowy w stroju kapitalistycznym prowadzi do wojen zaborczych, czego doświadczyliśmy na własnej skórze dwukrotnie w ciągu bieżącego stulecia. Jeśli pokój ma być zachowany to musimy zrobić krok najważniejszy, najtrudniejszy i ostatni. Jesteśmy skazani na gospodarkę planową w skali światowej i nie ma siły, która by nas mogła na tej drodze zatrzymać. Wola milionów ludzi może ten proces przyśpieszyć, a tylko nieliczne jednostki próbują go hamować.

Planowanie gospodarcze nie jest rzeczą łatwą, ale nie jest bynajmniej rzeczą nową. Rolnik od niepamiętnych czasów planował uprawę gleby, a tam gdzie nie starczyło deszczu stosował sztuczne nawadnianie, które na tysiące lat przed Chrystusem było arcydziełem twórczej myśli ludzkiej. Z biegiem czasu, z rozwojem cywilizacji, postępu technicznego i gospodarczego, planowanie rozszerza swój zasięg na coraz większe obszary ziemi i coraz szersze dziedziny gospodarcze. Pierwiastek planowości opanował już gospodarkę w skali narodowej nie tylko w krajach socjalistycznych, ale i kapitalistycznych, jak tego dowodzą plany Beveridge'a, Monneta i t.p. Plan Marshalla i Rada Współpracy Gospodarczej Krajów Demokracji Ludowej są już próbami planowania w skali międzynarodowej.

Jednak między planowaniem socjalistycznym i kapitalistycznym ist

(dokonczono na str. 12-tej)



TEGO dnia obchodziliśmy imieniny dyrektora. Więc już po trzech lekcjach wróciliśmy z bratem ze szkoły, szczęśliwi, że udało nam się wcześniej, niż zwykle wy dostać z „budy”. Żartując i popychając się wzajemnie, wpadliśmy do północnej izby. Zaraz na progu zauważyłem, że matka ma twarz jakąś inną, zmienioną.

— Przyszedł list... — rzekła, kręcąc się po kuchni.

— Skąd? — zaciekawił się Jurek.

— Nie wiem, ale myślę, że od ojca... Czuję, że od niego... Zobacz!

Wydostała spod poduszki szarą ówiarę taniego papieru i podała ją bratu. Prosiła, by przeczytał, gdyż sama niestety nie znała ani liter. Siadła na końcu ławy i niebieskimi oczyma wpatrzyła się w twarz Jurka.

Był to list pisany z więzienia. Zawierał parę krótkich, ale za to wymownych zdań. Ojciec donosił nam, że jest ciężko chory, ale wierzył, że się z tego jakoś wyliże. Zapytywał o synów. Jak się uczą, czy są grzeczni i zdrowi?

Jurek odłożył kartę, ale za chwilę przystąpił do ponownego czytania. Rzucił nam słowo po słowie. Na jego błędach, wymizerowanej twarzy pokazały się wypieki, a oczy błyszczały niezdrowym blaskiem. Był jakiś przejęty, rozdygotany.

Matka podniosła perkalowy fartuch. Słyszałem jak chłapała. Jej popękane, czerwone od ługu ręce rozmazywały łzy spływające po wystających policzkach.

— Zginie, nieborak — szlochała — zmarnieje. Zatluką go te przekłete hycle. Za to, że szedł za prawdą, że walczył o sprawiedliwość. Za to, że był socjalistą. Ale czy to zbrodni?

Nawet nie zauważyliśmy, kiedy do pokoju wszedł krępy, szpakowaty Gdula, jedyny kowal w osadzie i do tego stary, wypróbowany przyjaciel naszego ojca. Przywitawszy się z matką, usiadł pod ścianą.

— List? — zapytał.

— Tak, list.

— Od Jana?

Matka przytaknęła głową, a brat podał przybyłemu zmiętą kartę papieru. Ten wydobył z kieszeni okulary i długo sylabizował. Potem odłożył list i przez chwilę wpatrywał się w jakiś punkt na zbłądzonej ścianie. Długie, zawiesziste wąsy przyprószone z lekka szronem, drżały. Potężną, jak młot pięścią uderzał raz po raz po kolanie.

— Żal mi Jana — odezwał się z powagą. Trzeba mu pomóc, trzeba go ratować...

Potań dłońią czoło.

— A jak tam wam? — spytał.

— Żyjemy.

Teraz Gdula spojrzął na nas. Zdawało mi się, że jego surowe oczy, patrzące spod krzaczastych, nastroszonych brwi przenikają nas na wylot, że widzą nie tylko nasze policzki, ale i to co mieliśmy w tej chwili w sercach.

— Z Jurka to już kawał chłopca — rzekł łagodnie. — W której on klasie?

— W trzeciej.

— A Franek?

— W pierwszej...

— Kiedyś wyrosną z was ludzie...

Ale pamiętajcie, snyki, że macie służyć tej samej, co i wasz ojciec sprawie. Szanujcie biednego, pokrzywdzonego człowieka, człowieka takiego, jak wasza matka, jak my wszyscy, ludzie o takich steranych rękach...

Zerknąłem ukradkiem na ręce Gduli. Kształtem swoim przypominały

Józef Nikodem KŁOSOWSKI

# AWANTURA\*)

nały łopaty. Były nadmiernie wielkie, ciężkie, czerwone i zylaste. Budziły lęk i szacunek. Mogły się wryć w pamięć na całe życie.

— Zajrzę do was — rzucił wstając. — A o Janie przegram z towarzyszami... Tylko trzymajcie się i nie dawajcie biedzie...

— Dziękuję — szepnęła matka.

Przez parę dni z rzędu mówiliśmy o liście ojca. Matka pełna była najgorszych przeczuć. Do tego jeszcze dręczyły ją złowieszcze sny, w które wierzyła, jak w Ewangelię. Zaraz z samego rana opowiadała je Gilowej, która znała się na tym, jak czytać nikt inny w mieście. Powoli i ja już wierzyłem, że groch zapowiada łzy, jajka to plotki, a błoto: choroba...

W tym czasie brat porzucił myśl o własnej dorobku i ze zdwojoną energią zabrał się do nauki. Stał się jakiś poważny, mrukiwy. Raz przyniósł skądś parę starych, wytartych broszur. Jedna z nich nosiła tytuł: „Podstawy socjalizmu”. Dorwałem się do czytania. Ale nie rozumiałem z tego ani słowa. „To nie dla ciebie”, rzekł Jurek, wyrzucając mi książkę. I sam zasiadł do lektury. „Za to wylewają z budy!”, dodał półgębkiem. Ze sztuczną powagą pizerzował kartę za kartą.

— Muszę być adwokatem! — odezwał się, odkładając książkę.

— Adwokatem — zdziwiłem się.

— Chcę bronić biednych i pokrzywdzonych — mówił z zapalem — Takich, jak nasz ojciec! Dlatego nie mogę zrywać z budą. Postanowiłem przysiąc fałdów i uczyć się z całego serca, by prędzej dojść do celu. To Gdula poruszył mnie do bebeczów. Pamiętasz jego słowa, a jego oczy?

— Pamiętam tylko jego ręce...

— To on przysłał mi te książki — szepnął tajemniczo i uśmiechnął się z dumą — Gdula!...

Zbierałem ze zdumienia, bo dotąd ani mi przez myśl nie przeszło, by Jurek mógł mieć jakiś kontakt z kowalem Gdula. Tymczasem Gdula przysłał mi nawet książki! I to jakie! Dopiero teraz zrozumiałem dlaczego brat tak gorliwie wziął się do roboty. Chciał być adwokatem!...

Tak przyszedł maj. Za oknem zazieleniły się kościelne lipy i trawniki, a na podwórzu przekwitwały kartowate śliwy. Słońce dopiekało mocno, jak w lecie. Książka coraz to częściej wymykała się z rąk, a oczy błądziły po niebie i ziemi, po chmurach kąpiących rosą ptasiego, upartego szcziotu i po łakach złotych od kaczęca. Pachniały sady i wykłoszone żyta.

Matka po powrocie z wyrobku przez cały wieczór podlewała swoje grzędy, a później cerowała naszą zniszczoną odzież. Patrząc na lipy, rozwijające się za oknem, wdychała. Wiedzieliśmy, że tęskni za Białką, no i myśli o ojcu, zamkniętym w ciasnej, ponurej celi, gdzie nie dochodzi słońce, ani też nie dolatuje woń kwitnących jabłoni...

Oszło miła mnie wiosna. Łaziłem jak nieprzytomny. Już nie pociągała mnie szkoła, ale świat, świat pełen majowych cudów i piękności. Przez całe popołudnia włóczyłem się po łakach, po miedzach i nad rzeką.

W pobliżu młyna nad samą groblą rosła czeremcha. Chodziliśmy tam z Kwiatkowskim niemal codziennie. On łamał biało kwitnące gałęzie, a ja układałem bukiety. Wielkie i odurzające, jak kadzidło. W stawidłach monotonna szumiała woda, a z roz-

ległych, płaskich łąk dolatywał śpiew pastuchów. Gorzki zapach czeremchy mieszał się z mdłym powiewem szuwarów. Na spróchniałej wierzbie, sterczącej nad stawem żarły się niemilosiernie wróble. Wykrzykując jeden przez drugiego próbowały zagłuszyć się nawzajem. A tuż nad ziemią śmigły z radosnym świergotem jaskółki.

Jasiek coś mówił do mnie, śmiał się, bełkotał, ale nie rozumiałem z tego wszystkiego ani słowa. Siedząc na trawie, w pobliżu szumiącej słuzi, wpatrywałem się w wodę, w której odbijało się niebo. Woda była ciemno błękitna, a obłoki białe, jak kłęby śniegu. Nad brzegiem kwitły żółte mleczce, schodząc w dół aż do samego bagna, od którego zaczynał się pas szuwarów...

Wracając do domu zatrzymywałem się zazwyczaj przed księżym sadem. Przez szpary w płocie przeświecała biel drzew oblepionych puszystym jak śnieg kwiatem. Przygłówny twarzą do szorstkiego parkanu stałem tak długo póki Jaś nie szarpnął mnie za ramię. Zarzucił mi, że jestem „frajer”, że łażę, jak „ta mucha w miodzie”; że gapię się niepotrzebnie. Połykając wielkie kęsy chleba, opowiadał z przejęciem o sporcie. To było jego życie.

A ja wciąż myślałem o stawie, o łąkach i kwitnących sadach. Podobnie, jak matka cieszyłem się każdą gałęzią pachnącej czeremszy, czy skąpą zielenią śliw, sterczących w pobliżu śmietnika. Włóczę się o zmierzchu po pobliskich polach, powtarzałem swój ulubiony wiersz:

A czemuż wy, chłodne rosy  
Padacie,  
Gdym ja nagi, gdym ja bosy,  
Głód w chacie!  
Czy nie dosyć, że człek płacze  
Na ziemi,  
Co ta nocka sypie łzami  
Srebrnemi!  
Oj, żebym ja poszedł ino  
Przez pole,  
I policzył łzy, co płyną  
Na rolę,  
Strachby było z tego siewu  
Żać żniwo,  
Boby snopy były krwawe  
Na dziwo!

Pełz to razy czułem łzy spływające po twarzy. Stojąc na jakiejś pierwszej lepszej miedz, oczyma szukałem tej krwi, co wsiąkła w ziemię. Dzień gaś, dopalał się spokojnie, powoli. Na trawie polskiej rosa przyskaję za lada krokimi kroplami lodu na bosc, dygocące nogi. Gdzieś za pazuchą budził się lęk, strach przed zbliżającą się nocą...

Niegdyś, wracając ze szkoły, zatrzymaliśmy się z Jaśkiem i chudym Habdasem, synem piekarza na miejscim skwerze. Aleje były czysto utrzymane i wysypane piaskiem. Po obu stronach rosły potężne kasztany. Już przekwitwały o tej porze.

Przed ratuszem zaśokotał bęben. Skoczyliśmy w tamtą stronę. W gromadzie wyrostków i dzieci stał barczysty i biały jak mleko woźny Zarządu Miejskiego Wojciech Cap. Podniósłszy pałki, ogłaszał donośnym i grzmiącym jak trąba głosem, że jarmark został przełożony z wtorku na piątek. Z powodu ważnego święta parafialnego...

Obejrzałem się, gdyż ktoś dał mi w bok szturchańca. Zdziwiłem się, że to Marczewski z trzeciej. Miał jakąś poważną i zarazem tajemniczą minę. Odciągnął mnie od kolegów.

— Słyszałeś o tej awanturze? — szepnął mi do ucha.

— O jakiej? — zdziwiłem się.

— Z Jurkiem!

— Bujasz!

— Jak Boga Kocham!

— I znowu coś nowego? — przeraziłem się. — Tego już mama nie zżyje... Ten Jurek zamorduje ją!

— Ty nawet nie wiesz, co to była za heca! Cała szkoła w tej chwili mówi tylko o tym. Belfry latają, jak wyżyły. Sam Perz wziął sprawę w swoje łapy. Wyleją go z budy!

— Więc co się stało?

— Wyobraź sobie: Jurek pożarł się z Małkiem. Ale zalał mu sadła za skórę. Twój brat to bohater! Wszyscy tak mówią. A Małek to drań jakich mało. Żeby go już raz pokreć! — splunął przed siebie i zapatrzył się na starego Capa, ogłaszającego na drugim końcu rynku ważną dla mieszkańców wiadomość o odłożeniu jarmarku — Wojciech ma jeszcze krzepę! — zaśmiał się — Wali w taraban, jak cholera! Posłuchaj, Fran!...

Ten Marczewski mógł doprowadzić człowieka do ostateczności. Zamiast wtajemniczyć mnie w całą awanturę, zajął się raz Capem! I do tego jeszcze ryczy ze śmiechu, jakby nigdy nic, kiedy tymczasem Jurkowi groziło coś niedobrego!...

Nie czekając ani minuty, pobiegłem do domu, gdzie spodziewałem się zastać brata. „Przecież on wie wszystko najlepiej”, myślałem zaniepokojony. Z bijącym sercem wpadłem do sieni. Coś mnie dławilo w gardle, jak wtedy, gdy deklamując swój ulubiony wiersz, pytałem: „A czemuż wy chłodne rosy padacie?”

Jurek siedział, jak zwykle za stołem i czytał książkę. Twarz miał spokojną. Jakby nic się nie stało, jakby nie było żadnego zajścia z profesorem Małkiem i jakby mu nie groziły żadne przykre konsekwencje. Wszystko wyglądało na to, że był to tylko złośliwy kawał Marczewskiego.

— I co? — rzuciłem.

— Nic — odparł z niechęcią nie odrywając ani na moment oczu od czytanej książki.

Dopiero teraz spostrzegłem, że był zdenerwowany. Policzki miał rozpalone i jakieś smutne spojrzenie. Prawą ręką targał niesforne włosy.

— A Małek? — rzekłem zduszone szeptem.

— Słyszałeś o tym?

— Tak.

Podniósł oczy znad czytanej książki. Zauważyłem, że powieki miał obrzękłe, czerwone, jakby dopiero co płakał.

— Wiesz, że Małek nie znosi biedaków, odezwał się poważnie. Jak dorósł do dorosłego. — Tych, o których niedawno mówił Gdula!...

— Wiem.

— Pamiętasz tę hecę z zegarkiem?

Przytaknąłem głową, lecz na samo wspomnienie tej przykłej sprawy, poczułem zimno pod skórą. Zdawało mi się, że słyszę głos, świszczący jak kamień: „Złodziej!”

Tymczasem brat wygramolił się zza stołu i szarpnął swoją zmechaną czuprynę, zaczął mi opowiadać to, co dzisiaj przeszedł. Mówił krótkimi, urywanymi zdaniem, szybko, nerwowo, a oczy miał błyszczące, jak w gorączce.

Podczas lekcji historii profesor Małek swoim zwyczajem zamiast

wykładać, zajął się polityką. Twierdził, że największym nieszczęściem dla kraju jest to, że motłoch dorwał się do władzy. Według niego, robotnik powinien tkwić w fabryce, w kopalni, a chłop przy pługu. Polska w przyszłości stanie się monarchią ze stolicą w Krakowie. Ale kto żyw musi zabrać się do nieprzejednanej walki z wrogami Boga i Ojczyzny, z socjalistami!...

Wtedy Jurek zaśmiał się na całe gardło. Małek przerwał swój wywód i jednym skokiem dopadł do siedzącego: „Z czego się śmiejesz, durniu jeden?“, wrzasnął. „Z tego co pan mówi, panie profesorze!“. Nauczyciel posiniał z gwałtownego wzburzenia. Podniósł rękę, zamierzył się, lecz nie uderzył. „Za drzwi!“, ryknął „Ty zakała jedna. Synu kryminalisty!“

Skończywszy swoje opowiadanie Jurek znów pochylił się nad rozłożoną na stole książką. Ale widziałem, że nie czyta.

— I co teraz będzie? — odezwał się bezradnie.

— Wyleją mnie i już!

— Żal mi mamy...

— I mnie!

— I tego, że nigdy już nie będzie adwokatem!...

Do samego zmierzchu przesiadzieliśmy z bratem przy oknie, czekając na matkę zajęłą u Grosów. Przyszła późnym wieczorem. Spracowana, zmęczona, ale jak zawsze uśmiechnięta. Położywszy na stole bochen razowca, zajęła się przygotowaniem jakiejś stawy. Drżałem, żeby nie zapytała o szkołę, o naukę. Szepnąłem Jurkowi, by zrobił weselszą minę, bo siedział, jak mruk.

— Głodniście, co?

— Trochę.

Podziwiałem i z jaką to wprawą odbierała kartofle. Przy tym wesoło opowiadała o aptekarzu i jego rodzinie. Cieszyła się, że Kazia ma przynajmniej co zjeść i jest jako tako okryta. Chwała Bogu i za to. Bo o chleb i o grosz coraz trudniej. Ludzie żebrzą jakkolwiek prace.

W milczeniu słuchaliśmy tych słów, przepojonych dobrocią i drzeźliwym na myśl o jutrze. Matka nie przeczuwała wiszącej burzy. Nie patrząc na zmęczenie, żywo krzątała się po izbie. „Miałam dzisiaj zły sen“, „Boję się o zdrowie ojca!“

Nazajutrz wezwano ją do dyrekcji gimnazjum. W nagłej, pilnej sprawie. Przez dłuższą chwilę stała na środku pokoju, jak wryta. Potem spojrzała na nas. Na mnie i na Jurka!

Józef Nikodem Kłosowski

NA ZAMÓWIENIA  
KIEROWANE

DO

ADMINISTRACJI

„DZIŚ i JUTRO“

SP. WYD. „PAX“

WYSYŁA POWIEŚĆ

BRUCE MARSHALL

CHWAŁA CÓRY

KRÓLEWSKIEJ

PROSIMY O WPLATĘ

ZŁOTYCH 750 za EGZ.

NA KONTOPKO 1-8515

LUB PRZEKAZEM

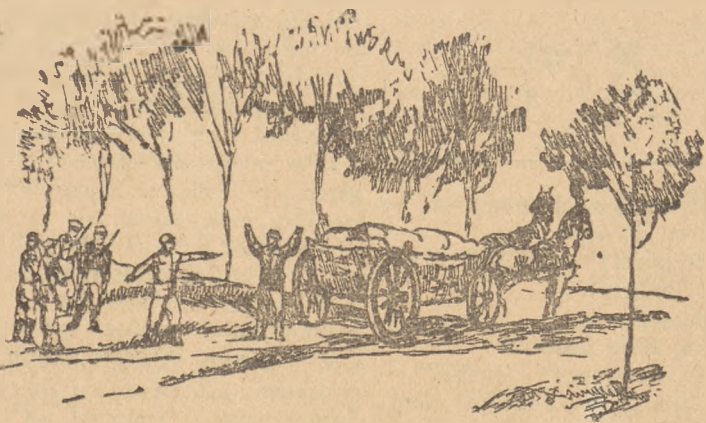
POCZTOWYM

\*) Fragment większej całości.



Jan Józef SZCZEPAŃSKI

## P O L S K A



czające go wody, tak ja uwiadomilem sobie nagle, że ład, od którego odbijałem pełen nadziei, już dawno zniknął mi z oczu — zniknął na zawsze. Choćby ta wojna trwała godzinę tylko, nie wrócę już nigdy. Mój dom, moje bezpieczne, krótkowzroczne „wczoraj” — to rzeczywiście było wczoraj. Nie potrzebowalem szukać mozolnie myślą szczegółów, zlepić cierpliwie pogubionych strzępków w znane krajobrazy. Nie — wszystko to było wyraźne i bardzo niedawne, ale zostało na innym kontynencie. Każdy krok oddalał od niego. Te falujące, blade pola mogły rzeczywiście być morzem, ale nie miałem busoli i nie wiedziałem dokąd płynię skrzyjący korab baterii.

Pochylony w siodło oddawałem się gorzkemu czarowi tej niewiedzy, pozwalałem horyzontom chwiać się i rozplwać w mrocznej mgłę. Każda piędź ziemi, dotknięta podkową mego konia, uciekała ode mnie, odpływała zmyta czarnym prądem, którego szum zatapiał z wolna wszelką rzeczywistość.

Ocknąłem się z takim uczuciem, jakbym osiadł nagle na mieliźnie. Mimo, że wciąż jeszcze obejmowałem udami grzbiet wierzchowca, stopy moje dotknęły piasku. Koła zaprzęgów przesypywały wilgotny miążż nad moim uchem. Zląłem z podkulonymi nogami, jak bydlętko z wigilijnej szopki. — Wstawaj bracie, cóż to takiego? — Podniósł się niechętnie, stękając z wysiłku. Odtąd kładł się za każdym razem, ilekroć zdrzemnąwszy się popuszczając mu wodze.

— On mądry, nie chce już nosić — powiedział Cieciała, kiedy na postojach oddałem wałacha pod jego opiekę. Szedłem dalej pieszo. Jaśniało już. Ruch rozgrzewał mnie i broń przed bezwładem senności.

O świcie przysiadłem na skraju drogi czekając na tabor. Chciałem dowiedzieć się o zdrowie Cwaliny. Oprócz niego jechało na wozie jeszcze trzech rannych, dwóch piechurów i jakiś bombardier z szóstego palu z obwiązaną głową. Cwalina trząsał się oparty o półkoszki, oczy miał przymknięte, głowa toczyła mu się bezzwładnie z ramienia na ramię. Jego dłoń, kiedy dotknął, była rozpalona.

— No, jak tam Cwalina? — Uśmiechnął się z trudem. — Dzięki panie podchorąży, lepiej. Ino mnie tak pali. Dreszcze mam...

— Ogniomistrz Misiąg wam nie dokuczal?

— Nie ma już pana szefa. Przepadł gdzieś z przykuchennym wozem.

— Może po prowiant pojechał?

— E tam, po prowiant... — odezwał się woźnica, idący przy kole, — zwiął skurweł. Wio! — bez potrzeby zaczął spocenie konie batem. Cwalina ścisnął szczęki, opanowując skurcz bólu. — Tak się ciesze, żeście mnie wzięli — rzekł ochryplym głosem. — Może mi się wnet zgoi, to znowu się przydam w baterii. Pan podchorąży ma już jakiego amunicyjnego?

— Nie, nie mam. — Odwróciłem głowę. Może trzeba będzie jeszcze o tym pomyśleć mimo wszystkiego...

Jeńcy niemieccy maszerują koło naszych zaprzęgów, brzegiem drogi. Jest ich osiemnastu. Na pewno nie są bardziej wygłodzeni od nas — wzięto ich wprost od konserw i czekolady — ale wszyscy litują się nad nimi. Wyglądają nędźnie i potulnie. Ich eleganckie płaszczki podarły się już i wygniotły. Na porannym postojach napięliśmy sobie na deklach od menażek jałowych placzków, zagniecionych z wodą. Teraz co chwila ktoś podchodzi do nich (idziemy pieszo przy działach) i czestuje. Przyjmują wdzięcznie z gardłowym „danke”. Ja też dziele się z jakimś grubym sierżantem. Mówi do mnie „Kamerad”, chwali się, że jest w cywilu nauczycielem śpiewu. Nieproszony pokazuje fotografię żony — pulchnej Frau z pretensjonalnym lokiem i sentymentalnym spojrzeniem — oraz dwu małych córerek z jasnymi warkoczami. W głosie przebija niepokój. Na pytania

odpowiada skwapliwie i przymilnie, ale wciąż odwraca głowę i zgnębionym wzrokiem wodzi po pustych polach, których nie ożywia ani jeden dym, nie przecina szlak żadnej szosy. Pod rozległym błyszczącym niebem pochód nasz sunie przez ten otwarty kraj jak karawana jakichś wygnańców. My sami czujemy się tu obco.

Konwojujący Niemców zwiadowca opowiada, że kiedy wzięto ich pod Aleksandrowem, płakali i błagali aby nie wyknuwać im oczu. Mówiono im, że Polacy zawsze tak postępują z jeńcami.

X

Przez wijącą się w głębokiej rozpadlinie rzeczce musieliśmy przepłynąć się w bród, zjeżdżając na łeb na szyję po urwistym zboczu, a potem wspinając się znowu z największym wysiłkiem. Wawóz wypełnił się po brzegi turkotem żelastwa i echem przekleństw. spiaczonych się na głowy jeźdźców i spadających na grzbiety koni wraz z trzaskiem batów. Nieco wyżej był mostek, z którego nie pozwolono nam skorzystać. Był podobno zbyt słaby by utrzymać działa. Samochody przeszły jednak po nim bez szwanku. Cały czas styszyliśmy tam w dole ich warkot ponad głowami. A kiedy zjazdami i zachrypnięci od krzyku wynurzaliśmy się wreszcie na drogę, śmiały nam przed nosem, w gorącym podmuchu spalinowego czafu. Wielkie, eleganckie niegdyś limuzyny, szare wojskowe łaziki, płytkie jak pudełka od zapalek. Wszystko to skakało po wybojach, gnało na oślep z brękiem szyb i szczękiem resorów. Niektóre wozy toczyły się stracąc obok drogi po spieczonej, glinastej grudzie. Migwały nam w oczach proporczyki, barwne adiutanckie sznury, różnokolorowe otoki i srebrne błyskawice generałskich wężyków. Były i kobiety. Niektóre narzucały na ramiona futra, jakby ten rozsoleczony dzień przenikał je mrozem. Nie zwracały na nas uwagi, rozszerzonymi oczyma wpatrzona w przestrzeń przed sobą. Jedna tylko powiała ku nam dłoń, okaleczoną potwornie karminem paznokci. Gapiiliśmy się w osłupieniu. Jakiś sztab czy co? Tymczasem dziwaczna kawalkada zniknęła już za zakretem w gęstym тумanie kurzu. Nieprawdopodobna ucieczka z amerykańskiego filmu.

X

Zapach jesieni czułem już dawno. Teraz pierwszy raz dostrzegłem jej kolor. Z gałęzi buków, tworzących fasadę lasu, do którego zbliżaliśmy się z wolna, tryskały małe, jaskrawe płomyczki. Zwarta ściana gąszczy była jeszcze ciemno-zielona, ale końce konarów i pierzaste aureole koron osmaliły już nocne i poranne chłody. U podnóża drzew, na skraju pola leżała okopana piechota. Cekaemiści w hełmach czaili się wokół podstaw kulmiotów. Przy drodze czekało zamaskowane działko p. panc.

Uścisk rezygnacji, zwątpienia, które jak ciemna błona zasnuło mi świat po ostatniej odprawie u Redycza, ustąpił mi spod czaszki. Przypomniałem sobie, że nie mam amunicyjnego i ta myśl zelektryzowała moją wolę. Czulem się znow włączony w prąd walki. Kanter może się nadać — myślałem. — Zawsze łatwiej o wręczyciela. Wręczycielem może być każdy.

Pospiesznie zapotały za mną kopyta. Funt doganiał mnie klusem, spocony, z twarzą w wypiekach. — Panie podchorąży, pan się nawet nie oglądnie! Jaszcz zostal.

— Cóż tam znowu?

— Kunie mają dość. Wykończyli się na tej rzeczce. Nie pójdą dalej. Trzeba nam nowe kunie.

Razem z jaszczowym przebijaliśmy się z powrotem poprzez szarą ciżbę piechoty, pracę luzem w ślad za baterią. Jaszcz stał smętnie nad brzegiem rowu, jak uszkodzona łódź, odrzucona na bok przez nurt.

— Niech pan popatrzy — rzekł ze złością dyszlowy, kiedy przystanąłem koło zaprzęgu. — Niech pan popatrzy, panie podchorąży, i niech pan powącha. — Odgiął róg czapraka.

Po mokrej, zlepionej sierści ciekła szaro-żółta strużka ropy. Mdy zapach zgnilizny unosił się dokoła. — Nie będą na tym koniu jechać — wybuchnął. — Koń też nie z drzewa. Jego boli!

— Czemuście go nie przełożyli na podórcego? Już dawno trzeba było.

— Tamten drugi kuleje. Ochwalony na przednie kopyta.

— A mój odparzony, cały grzbiet w strupach — dołączył się jeźdźcy środkowy.

Właściwie tylko dwa konie w zaprzęgu nadawały się jeszcze jako tako do marszu. Na szczęście jaszcz nie był ciężki — pozostało w nim zaledwie kilkanaście granatów. Wyrzegliśmy chore zwierzęta i ruszyliśmy w stronę lasu, popychając niezgrabne pudło na wybojach i w piachu.

— Postaram się o konie — uspakajam Funta, — postaram się o amunicyjnego. Skompletujemy działon na nowo. Żeby tylko amunicja była — reszta głupstwo! — Dodałem otuchy bardziej sobie niż Funtowi i kanonierom. Ich pokryte kurzem twarze żłobiły głębokie bruzdy znużenia. Potrzebowałem pokarmu i snu tak samo jak oni, ale bardziej od nich potrzebowałem nadziei. Dla nich dzisiejszy dzień był jeszcze jednym dniem twardej harówki — ja wiedziałem, że był także dniem zdrady. Niewiele brakowało, a ludzie ci myśleliby teraz z taką samą pogardą o swych oficerach, z jaką ja myślałem o wczorajszych przywódcach narodu. Z jakichś niewytłumaczonych przyczyn czulem na sobie cień hańby, jakby granica odpowiedzialności obejmowała jeszcze i mnie, lichego podchorążego. Tym bardziej gotów byłbym teraz podjąć wszystkie trudy. Byłe wytrwać. Walka z najeżdżącą nie wydawała się w tej chwili sprawą najcięższą.

Bateria czekała na skraju drogi w lesie. Popuszczono popręgi, żołnierze siedzieli pod drzewami lub snuli się wokół zaprzęgów. Nieustannie przepływające oddziały miesiły w monotonnym pochodzie piach traktu. Głębiej, wśród olszyn, dębów i buków, w gąszczu prześwietlonych łagodnym blaskiem krzaków poszycia szeleścił nieporządny ruch obozowiska. Kompanie piechurów rozłożyły się wokół ustawionej w kozły broni, zamaskowane wozy piętrzyły się w cieniu stertami gałęzi. Obok zaprzęgów naszego plutonu Kazek Jesioł rozmawiał z jakimś nieznanym podoficerem piechoty.

— Chodź tu Paweł — zawołał, spostrzegłszy mnie — spotkałem koleżę, trenera z klubu.

Zarośnięty mężczyzna, w zbyt luźnej, faszonowej bluzie nie wyglądał wcale na sportowca. Podał mi żyłastą dłoń i przyjrzał mi się spodoba. — Kolega pewnie głodny — rzekł niespodziewanie. — Proszę się poczęstować. — Wyciągnął z chlebaka manierkę, która zaważyła mi w ręku nieoczekiwanym ciężarem i lekko przyłgnęła do palców. — Miód — wyjaśnił. — Kazik już sobie tyknął. Proszę śmiało. Ja już mam dość. — Łałem łakomie gestą słodycz w gardło, czulem jak opada powoli wzdłuż przełyku, jak napętnia żołądek. — Dzięki panu bardzo, wystarczy. — Nie ma za co. — Odebrał manierkę bez uśmiechu i wsadził ją z powrotem do chlebaka. — O rządzie już wiecie — rzekł.

— Wiemy — przytaknął Kazek. — Sakramenckie dranie. Co teraz będzie? — Tamten wzruszył ramionami. — Mielismy iść na Lwów — powiedział, ale czort wie czy się da. Rano wysyłaliśmy patrol z naszego batalionu. W Rawie Ruskiej są Niemcy. Wszędzie są Niemcy. Będziemy się znowu przebijali. Tylko gdzie? Może też do Rumunii? Narobili kramu psie krwie, a teraz zadarli ogona i chodu! Sami sobie radzić.

— Nie złość się stary — pośpieszył ułagodzić go Kazek, — zwiali — drag im w plecy! Dość nas jeszcze zostało. Zacznie się ofensywa na zachodzie...

— Rany boskie, Kazik — zachnął się piechur — nie cierpię takiego trajlowania. To właśnie jest ta nasza głupota: zawsze gruzki na wierzbie. Wykolowali nas dupą do wiatru. bośmy się dali wykolować. Dla tych co przeżyją, będzie nauka, ale, ech, mało to było takich nauk? — mach-

Anglik bełkotał niewyraźnie o obronie Helu, o walkach wokół Warszawy i Modlina. Jego głos nie zdradzał przerażenia. Brzmiał w nim grzecznościowy, trochę znudzony podziw dla postawy obrońców, którzy „very gallantly” opierają się miazdzącej przewadze. Wystarczyło by wprowadzić do tego sprawozdania czas przeszły, a obiekty by się natychmiast w czarne ramki nekrologu. Trafiałem na koniec komunikatu. Może powiedziano już coś naprawdę ważnego? Może dzieja się już rzeczy, które odmieniają nagłe nasze losy. Zaczęłam manipulować gałkami aparatu. Słuchawki zaharzały syta, pewna siebie niemczyzna. Tu nie było grzeczności ani znudzenia. Gardiowe, kanciaste słowa padały jak kamienie, miotane z góry z rozmachem zwycięskiej pogardy. Cytowano czyjąś mowę, ale speaker unosił się tak swada, jakby sam zwracał się z trybuny do tłumu.

— Pan podchorąży Stracyński do dowódcy baterii! — zawołał ktoś w pobliżu taczanki. Nieprzyjemne ciarki przeszły mi po grzbiecie. — Oho, oberwę za Misiąga.

Na małej polance pod szczytem wzgórza zastałem ku mojemu zdumieniu wszystkich oficerów i podchorążych baterii. Siedzieli kołem na ziemi, a gdy stanąłem wśród nich, Redycz wskazał mi skiniemieniem dłoni miejsce na trawie. Przykucnąłem posłusznie między Garwaczewskim a Jesiołem. Tu nie mogło chodzić o Misiąga i o jego wóz. Twarze oficerów pełne były przygnębienia. Musiało się stać coś ważnego.

— Proszę panów — powiedział Redycz — wszyscy powinniście do wiedzieć się o tym co zaszło... — przeknął głośno ślinę i przecesał palcami włosy. — Marszałek Śmigły-Rydz i rząd polski opuścili teren państwa. Dziś rano przekroczyli rumuńską granicę.

Wszyscy milczeli, tylko Kazek syknął „dranie” i skrzywił pogardliwie usta. Porucznik Redycz opuścił głowę i z roztargnieniem bawił się swoim bykowcem. — Nie ma co się ludzić, — podjął po chwili — to stawia nas w zupełnie nowej sytuacji. To jest koniec! — Trzepnął ze złością ramięmieniem w zakurzony szpic buta. — Koniec — powtórzył i powiódł po nas spojrzeniem pełnym urazy. Jego oczy zatrzymały się dłużej na ciemnej twarzy Florczaka, która nie utraciła nic z płytkiego zadowolenia z siebie. Pan porucznik Florczak ma pewien projekt — dodał niepewnie. — Chciałbym aby każdy wypowiedział się na ten temat.

Florczak odchrząknął, wydymając gardło jak gołąb. — Koledzy — rzekł swym pięknym, patetycznym głosem, — jesteśmy tu w swoim gronie, możemy mówić otwarcie. Pan porucznik słusznie powiedział, że to jest koniec. Armia generała Szyllinga skapitulowała już pod Tomaszowem. Nas czeka ten sam los lada chwila. Rząd uciekł, front nie istnieje, jesteśmy niedobitkami, zdanymi na łaskę wroga. Trzeba się ratować. My, oficerowie nie powinniśmy się dostać w ręce nieprzyjaciela. O żołnierzy możemy się nie martwić. Nie im nie grozi. Zostaną na pewno rozpuszczeni do domów, bo niezależnie od sytuacji politycznej ich ręce potrzebne będą w przemyśle i na roli. To zupełnie jasne, nieprawdaż? — Odetchnął znowu i pochylił się ku nam z porozumiewawczym błyskiem w oczach. — To nie będzie żadna dezercja. Broń Boże! Nasz obowiązek spełniliśmy w stu procentach. Raczej nazwałbym to dalszym wypełnianiem obowiązku. Niedużą grupą powinniśmy przedrzeć się do granicy rumuńskiej bez wielkiego trudu. Ja znam te strony i mogę poprowadzić. Myślę, że nie ma żadnych rozsądnych powodów do sprzeciwu. — Spojrzał pytająco na Redycza, a ten, unikając jego wzroku, uniósł w górę by-

kowiec jak batutę. — Proszę, kto ma coś do powiedzenia, niech mówi — rzekł.

Godzina była już popołudniowa. Mimo że blask słoneczny zalewał jasnymi kałużami wrzosa polanki, pomiędzy drzewa wpełzał wieczorny chłód. Garwaczewski obok mnie szepkał zębami. Czulem jak jego ramiona drżał. Nikt nie odezwał się przez długą chwilę. Nagle, poruszony jakimś impulsem podniosłem rękę, jak w szkole na lekcji. — Stuchaliśmy właśnie komunikatów — odezwał się. — Hel się broni. Modlin się broni... Warszawa... Ktoś kieruje przeciw ta walka. Nie mamy prawa twierdzić, że wojna jest skończona. Mamy jeszcze amunicję, wojsko chce się bić dalej...

Florczak wzruszył ramionami. — To nie jest realny punkt widzenia. — Mniejsza o to — przerwał mu Redycz, — niech każdy powie co myśli. Pan porucznik Herbst chce coś powiedzieć?

Twarz Herbsty przybrała wyraz zadowolony. Zweził kose oczy, a gdy zabrał głos, podskakiwał na podwinionych nogach z podniecenia. — Może kolega Florczak, jako oficer zawodowy ma nieco inne pojęcie obowiązku — mówił piskliwie. — Mnie się zdaje, że dopóki nie ma rozkazu złożenia broni nasze miejsce jest tu, przy baterii. Pół godziny temu widziałem generała Monda, jak wydawał swym adiutantom dyspozycje dalszego marszu. Jesteśmy pod jego komenda. Co nas obchodzi Rydz-Śmigły? A jeżeli jutro Rumunia przystąpi do wojny — jak będziemy wyglądać? Ja wole już nie mówić co myślę o projekcie porucznika Florczaka.

Krąg siedzących postaci ożywił się, polanka zaszmarała pomrukiem zciszonych rozmów.

— Proszę o spokój — zawołał Redycz. — Kto ma jeszcze coś do powiedzenia? Podchorąży Marchewka?

Marchewka wypluł jakąś trawkę, wyszczerzył zęby w głupawym uśmiechu. — Eee... panie poruczniku — wystękał, — ja mam naszywkę podchorążego, ale jestem celowniczym przy działach. Ja należę do obsługi. Nie będę maczał w tym palców. Ja nie chcę żeby koledzy mówili o mnie: „uciekł skurwysyn”. Ja jestem żołnierz.

Ktoś parsnął śmiechem i umilkł natychmiast. Porucznik Florczak podniósł się niezgrabnie. Na jego policzki wystąpiły ciemne rumieńce. — Widzę, że nie rozumiecie sytuacji... — zaczął.

— A ja widzę, że rozumieją — rzekł szorstko Redycz. — W porządku panowie. Chciałem poznać wasze zdanie. Dziękuję wam. A teraz proszę się rozjechać i niech to wszystko zostanie między nami.

X

Księżyc wstawał teraz późno. Jego blask rozcięczał ciemności przejmującym chłodem godzin poprzedzających świtanie. Jechaliśmy skrajem lasu, drogą — jak zwykle teraz — piaszczystą. Piach przepojony wilgocią rosy chrząścił pod kołami. Ten chrząst monotony, jak szurgot fali o burte okrętu i przerywany tylko zgrzytliwym westchnieniem osi był jedynym odgłosem naszego marszu. Minęły czasy nawoływania i przynaglania, besztania jeźdźców emigrujących papierosy w garści. Bateria toczyła się jak gdyby bezwładnie, pchana własnym ciężarem, odrętwiała i zziębnięta. Sunęliśmy w cieniu, którego zębaty brzeg kładł się ostro na jakieś rżyska i łuki bardzo rozległe, powleczone śliską szarością. Czasem przez wodniste obszary tej poświaty przemykał bezgłośnie jakiś jeździec — widmo, którego barwy zetlały na popiół. Kołysany powolnym rytmem stępa przeżywałem dziwny, kojący smutek oddalenia. Nie potrafiłem obliczyć dni tej wojennej wędrówki, ale wiedziałem, że dni nie są tutaj ważne. To była kwestia przetrzeleni, nie czasu. Jak żeglarz, który w momencie ciszy spozstrzega ze zdumieniem ota-



# J E S I E Ń <sup>3)</sup>

nał gniewnie ręką i oddalił się bez pożegnania.

— Fajny chłopak — powiedział Kazek, patrząc za nim z uśmiechem, ale dziwak. Na pływalni zawsze były z nim szopy. Robił ci wiec z każdego treningu. Poza tym — dusza chłop, szkoda gadać.

W górze rozległ się narastający miarowymi falami warkot. Droga opustoszała w jednej chwili. Ludzie uskakiwali w las, wozy nurkowały pośpiesznie w cieniu. Pomruk silników wznosił się, grał niskim, napęczniałym siłą basem. Bombowce. Dostrzeżliśmy je wkrótce poprzez gałęzie. Cała eskadra. Szyły idealnie równym szykiem, bardzo powoli, jakby śledziły pilnie teren pod sobą. Znikły nam z oczu, ale korony drzew wciąż jeszcze drżały rytmem ich glosu. Po chwili ujrzelśmy je znowu. Zataczały szeroką pętlę, porządnie, trójkami, i powoli wracały na zachód.

Kazek ziewnął głośno i przeciągnął ramiona. — Chodźmy zdrzemnąć się trochę zanim nas zbombardują — rzekł.

— Nie mogę człowieku — odparłem z żalem. — Mam kupę roboty; muszę zmienić konie, wystarcą się o nowego amunicyjnego...

— Idźże frajerze, nic teraz nie załatwisz. Oficerowie poszli na odprawę. Patrz: całe nasze bractwo już kima. Nie bój się, i tak zbudzą nas za wcześnie.

Odeszliśmy kilkanaście metrów w las i wyciągnęliśmy się na trawie u stóp ogromnego buku. Jego cień przetkany był strzępkami zielono złotego światła, ciepły, nasycony miłą goryczą macierzanki i wrzosu. Moja głowa przylgnęła do ziemi bezwładnie, z ulgą, jakby to było jej właściwe miejsce. Przed chwilą jeszcze zamartwienie gnioło mi skronie, szare dokuczliwe myśli ciążyły nieznosnie, odbierały urok nawet nadziei spoczynku. Teraz wszystko to odpływało ode mnie, nikoło w błogości leniwej wygody. Słyszałem jeszcze szum powracających bombowców, ale czujność moja zwiatczała, nie chciała sygnalizować grozy. Przyjmowałem ten dźwięk jak łagodne mruczenie kołysanki.

×

Senną nutą bzycało letnie niebo. Bez wysiłku unosiłem się nad ziemią. To tak łatwo. Tylko rozłożyć ramiona i lekko poruszać dłońmi. Nie chciałem wzbijać się wysoko. Ot, ponad kolczastymi czubami jałowców, ponad małymi świerczkami na zbroczu. Widziałem w dole zielone jeziora. Parę drobnych skłębionych i oto jestem na pochyłej łączce nad wodą. Leżę wyciągnięty na plecach, nie całkiem dotykając trawy; jakbym sobie z nagrzanego powietrza zrobił materac. „Kryć się, lotnik!” woła ktoś w pobliskim lesie, ale ja nie ruszam się z miejsca. Chce mi się śmiać. Uraz wojenny. To przecież nie żaden lotnik, a pszczoła. Widzę ją z daleka, jak zbliża się pływającym, kapryśnym lotem. Strzyże drobno przeźroczystymi skrzydełkami, biała sukienka powiewa za nią miękko szleszczącym trenem. Siostra zatrzymuje się nade mną w pozie barokowego aniołka. — Wiesz — mówię, wziąłem cię za pszczołę. To dlatego, że na wojnie wszystko co lata, to albo lotnik, albo pszczoła. Wybucham śmiechem, który całą przestrzeń napełnia metalicznym, męczącym łoskotem. — Uspokój się — mówi siostra — te sprawy możemy wymazać. Przystań się śmiać. To nie jest śmiech wakacyjny. Zatacza nade mną mały krąg i znowu robi się cicho. — Jest tu Iza — mówi. — Zaraz będzie podwieczorek. Może chcesz malin? — Znad stoku spływa Iza w takiej samej białej sukience. W rozpuszczonych jasnych włosach migocze słońce. Przez chwilę obie tańczą jak łąki nad ciemną taflą jeziora, potem, uśmiechnięte, nachylają nade mną pękaty dzbanek malin. Czuję skurcz głodu, ale usta napełniają mi się nagle ciężką, lepka stodyczą. — Czy nie dało by się zrobić z nich pieczeni? — pytam. — Głupstwa gadasz — mówi Iza — nie można z tobą dojść do ładu. Obudź się. Obudź się, obudź się! — powtarza męskim głosem.

— Paweł, obudź się do cholery! — ktoś szarpie mnie za ramię. Otworzę oczy i zmrzyłem je natychmiast, bo bił w nie ukośny, złoty promień. Twarz Kazka wydała mi się dziwna. Straciła swoją dziecięcą okrągłość, była ciężka i obwisła, jak twarz starego pijaka.

— Co się stało, jedziemy? — zapytałem, przecierając powieki.

— Nigdzie nie jedziemy — odparł ze złością. Nagle nachylił się nade mną, a wargi skrzywił mu jakiś nieznan, żalony grymas. — Poddajemy się — rzekł.

Usiadłem. Coś zabulgotało mi w żołądku, podeszło dławiacym słupkiem do gardła. — Nieprawda — powiedziałem — robisz ze mnie wariata. Nieprawda. Nie wierzę.

W górze nad nami warczały samoloty. Cała eskadra bombowców. Porządnie, trójkami zataczały powolny łuk. Kazek wyciągnął ku nim brode, porośniętą miękką, rudawą szczecina. — Popatrz jak pilnują. Latają bestie bez przerwy. Gdybyśmy nie chcieli skapitulować, zrabia nas do nogi. Jesteśmy otoczeni ze wszystkich stron. Przed chwilą Mond wysłał parlamentariuszy.

— Poddajemy się... — powtórzyłem głupio. Głowę miałem zupełnie pustą, szumiła w niej jakiś przeciąg, wymiatający ostatnie pajęczyny myśli.

— Chodź — rzekł Jesioł — trzeba zasięgnąć języka.

Wstałem niepewnie. Nogi miałem słabe. Trzęsły się idiotycznie. Żołądek ciążył mi, chwiało się nieznosnie, przepełniony jakąś ruchliwą cieczą. Musiałem oprzeć się o drzewo.

— Co ci jest? — zapytał Kazek z niepokojem.

— Nic, to ten cholerny miód. Poczekał, zaraz przyjdę do baterii.

Chwiejnym krokiem powlokłem się w stronę liściastego zagajnika. Była to szkoła młodych dębów, bardzo gęsta, sadzona w równe rzędkie. Na ścieżce oddzielającej ją od reszty lasu paliło się kilka ognisk, a grupki żołnierzy krzątały się wokół przeźroczystych dymków. Zaszłyłem się w sprężystą zieleń, przywarowałem schylony, ukryty przed ludzkimi spojrzzeniami. Czuję wilgotny chłód na czole, męczące mdlenie w piersiach, obmierzłe laskotanie we wnętrzościach. Zwymiotowałem. Użyło trochę, ale wciąż jeszcze wydawałem się sobie okropnie nieszczyśliwy i nie mogłem zebrać dość woli, by ruszyć z miejsca. Tu byłem przynajmniej sam. Gwar obozowiska docierał do mnie stłumionym, dalekim pomrukiem. — Koniec wojny. Koniec Polski... — myślałem między jednym skurczem przełyku, a drugim, — co będzie dalej? — Ale po prawdzie przyszłość nie interesowała mnie w tej chwili zupełnie. Widziałem ją przed sobą jak szarą ścianę rozpacz, bez barw, bez kształtu, bez cienia uroku, który usprawiedliwiałby potrzebę dalszego życia.

Nad moją głową znów zawarczały silniki. Przypomniałem sobie niedawny sen, a jego wdzięk ścisnął mi serce tak bolesnie, że musiałem przykryć je dłońią. W tej samotności mogłem sobie pozwolić na taki gest. Mogłem sobie pozwolić na znacznie więcej. Po długiej chwili wytarłem oczy brudną chustką. Ogarnął mnie wstyd. Oplakiwałem przecież nie Polskę, lecz moje własne dzieciństwo, łatwe szczęście mego dotychczasowego życia, które — wiedziałem to przecież — tak czy owak było już poza mną. Ale to właśnie było dla mnie Polską. Zrozumiałem to nagle i poczułem jak wzbiera we mnie nowy, inny żal. Za Polską nieznana mi z własnego doświadczenia, z historycznych pouczeń i patriotycznej poezji. Za taką Polską, którą buduje się samemu. Swoją myślą, swoją miłością i swoim gniewem.

Wyszedłem na ścieżkę w pobliżu jeanaego z ognisk. — Hej kolego! — zawołał mnie Garwaczewski, — chodźcie na piacki. Nowy rodzaj: zagniecione z makiem. Podniosłem w górę biały, przypalony na środku krążek, naszpikowany cały czarnymi kropkami, jakby upstrzyły go muchy.

— Czy to prawda? — zapytałem pod wpływem naglej, nierozsądnej nadziei.

Spłoszony zamrugnął szybko i opuścił z zażenowaniem dłoń, trzymając

ca płacek. — Kapitulacja? tak, prawda — odparł cicho. Przy ognisku zapanowało milczenie. Potem jeden z elkaemistów splunął w ogień i patrzając ponuro w ziemię, rzekł: — może wreszcie dadzą się nażreć w tej niewoli.

Wróciłem nad drogę. Panował tu jakiś dziwny nastrój, przygnębiający i tajemniczy. Wzdłuż rowu, wśród rzadko stojących drzew, ludzie przechadzali się grupami, szepcząc między sobą, przystając, rzucając wokół podejrzliwe spojrzenia. Zarośnięte twarze pełne były żalobnej powagi, usta łamały się w wyraz zniechęcenia i goryczy. Niektórzy spierali się o coś z błyszczącymi oczyma. Zestykulowali ze stłumionym podnieceniem.

Po pewnym czasie odnalazłem Kazka. Stał nieco na uboczu, w cieniu starej, sekatej sosny, pochłonięty rozmową z dwoma artylerzystami z jakichś obcych oddziałów. Starszy z nich był podporucznikiem — rezerwistą, sądząc z sposobu bycia i postawy — dystynkcje młodszego świadczyły, że jest podchorążym z pacu.

— To kolega z baterii, fajny chłop — przedstawił mnie Kazek swym towarzyszom. — Na pewno poszedłby z nami...

— Byle nie za wielką kupą — rzekł nieufnie oficer rezerwy.

— Wiesz, Paweł — powiedział Jesioł, nie zostawiając mi czasu na dowiedzenie się o co chodzi. — Steinfäger palnął sobie w łeb. No, ten, pamiętasz coś go spotkali koło Niepołomic. Właśnie kolega z pacu opowiadał...

Pamiętałem, oczywiście. Piękny, niedowarzony chłopak, entuzjasta wojny, który w blaskach zachodu, w chmurze pyłu wzbitego marszem cofających się wojsk, przechwalał się przed nami swym nowym „wisem”.

— To nie jest wyjście z sytuacji — rzekł rezerwista. — Romantyczny gest bez sensu. Nawet nie demonstracja. Trzeba by być generałem na to, żeby taki protest miał jakąś wymowę. Nie wolno do tego stopnia poddawać się psychozie kłeski. Nie wolno! — Końcem patyka, który trzymał w ręku, uderzył z gniewem w ziemię. Miał płaską, bladą twarz i duże, wypukłe oczy, błyszczące inteligencją. Wlepił je we mnie z niepokojącą natarczywością, ale po chwili zdałem sobie sprawę, że wcale mnie nie dostrzega. W jego spojrzeniu była jakaś gorączkowa nieobecność. — Nie wolno, — powtórzył z naciskiem. — Gdyby to był naprawdę koniec wszystkiego, wszyscy musielibyśmy chyba zrobić tak samo. Ale to nie jest koniec.

— Steinfäger bardzo bardzo honorowy — rzekł z teatralnym namaszczeniem podchorąży z pacu.

— Bzdura! — zirytował się oficer. — Histeria albo brak wyobraźni. Nikomu z nas nie jest lekko na sercu, pewnie... ale rachunek nie jest zamknięty. Sprawa nie kończy się na obronie naszego terytorium. Walczymy nie tylko z państwem niemieckim, ale ze straszliwym barbarzyństwem hitleryzmu, z zarazą, której grozy nawet dziś nie potrafimy ocenić. Ta walka zobowiązuje nas nie tylko jako Polaków, ale jako ludzi. Jeżeli proponuje ucieczkę do Rumunii, to nie dla ratowania naszej skóry, tylko żeby się dalej bić.

— To się rozumie — wtrącił Kazek. — Nie ma o czym gadać. Casy wie w tym, jak się wy dostać. Wszędzie naukowo są szwabcy.

— Właśnie dlatego nie można iść kupą — rzekł rezerwista. — Tu jest nas już czterech, a jeszcze mam trzech kolegów z szóstego palu, którzy by też poszli. To siedmiu. Pan się decyduje? — zapytał patrząc mi w oczy.

Czułem się jeszcze bardzo źle. Wiadomości o samobójstwie Steinfägera i bojowych wywodów porucznika słuchałem w stanie apatii, nie mogąc jakoś przejść się tym wszystkim. Kapitulacja — to była jedyna rzecz realna, z której dotkliwie zdawałem sobie sprawę. Wszystko inne wydawało mi się blade i blade na tle tej czarnej chmury, huczającej głodem krążących po niebie maszyn. Właściwie było mi wszystko jedno.

(dokończenie nastąpi)

Zbigniew HERBERT

## Złoty środek

Nocami  
żłopię powietrze  
czyste bez snów

Sny są dla Freuda, chiromantów  
i tych co wierzą w koniec świata

— Uczeni zmyślają początek  
Prorocy wrzeszczą koniec  
My uderzymy w środek  
Zaciszny jak kropla tłuszczu

W środku zapach i kolor  
Dostatek trzech wymiarów  
Milion oswojonych rzeczy

Palcem stukają w mój niepokój  
Gdy mówię im o dnie i kresie  
Ludzie pośrodku, ludzie środka  
ślepi jak woda

Oni nie wierzą w koniec świata  
mówią że ziemia jest okrągła

## Pożegnanie wrzesnia

Dnie były amarantowe  
błyszczące jak lanca utkańska.

Śpiewano w megafonach,  
anachroniczną piosenkę  
o Polakach i bagnietach

Tenor ciął jak szpicrutą  
i po każdej zwrotce  
ogłaszano listę żywych torped

Które nota bene  
przez sześć lat wojny  
szmuglowały słoninę  
żałosne niewypały

Wódz podnosił brwi  
jak bulawę  
Skandował ani guzika.

Śmiały się guziki:

Nie damy nie damy chłopców  
płasko przyszytych w wrzosowiskach

## Napis

Patrzysz na moje ręce  
Są słabe — mówisz jak kwiaty.

Patrzysz na moje usta  
za małe by wyrzec: świat.

— Kołyszmy się lepiej na łodydze chwili  
Pijmy wiatr  
i patrzmy jak zachodzą nam oczy  
woń wędnięcia jest najpiękniejsza  
a kształt ruin znieczula.

We mnie jest płomień, który myśli  
i wiatr na pożar i na żagle

Ręce mam niecierpliwie  
moge  
głowę przyjaciela  
ulepić z powietrza

Powtarzam wiersz który chciałbym  
przetłumaczyć na sanskryt  
lub piramidę:

Gdy wyschnie źródło gwiazd  
Będziemy świecić nocom

Gdy skamienieje wiatr  
Będziemy wzruszać powietrze



Jerzy HORDYŃSKI

## Tryptyk jesienny

Wlastimilowi Hofmanowi

I.

Zachód nabrzmiewa krwią, — senną głowę zwolna  
odwracam,  
lekko przechyla krajobraz wahadło oczu.  
Niebo opada zmęczone i srebrne jak taca  
pełna ciepłych owoców.

Nuda — szpilką wpiętą w nowy kapelusz Krystyny  
ściegi dróg ledwo widoczne, oddala od kroków  
i nawet patrzeć się nie chce, choć obłoki  
płyną, jak kragle tercyny.

Coraz więcej czerwieni w chmurach, drzewach i trawie  
i coraz więcej ciszy na ramie okiennej się zbiera...

Milczy ziemia, nieruchoma prawie.

Na piersi oparłszy dłonie biały anioł umiera.

II.

Pożółkłe cienie ogrodów więdną w odbiciu źrenic  
i gwiazda uschła spada z granatowego szczytu...  
Kogo pożegnaj uśmiechem i dokąd pójdę nie pytaj,  
gdy nocy zabraknie czerni i sen pokryje rumieniec.

Już dawnych słów nie pamiętam, ścieżek pachnących trawą,  
przysypał tarczę miesiąca popiół zwalonych domów.

Krew zaplątana w oknie i niepotrzebna nikomu,  
jak grudka spalonych książek, umierasz samotnie, sławo.

Drzewom ptaki zbłąkane przypomną o dziwnej porze  
gałęzie ciężkie od ciszy i późno rwanych owoców.

Nie czekaj słów moich więcej — czas się leniwo potoczy...

Pocisk na oczy senne rzekę srebrną połóż.

Ośleple miasto przeczuwa trwogę dalekiej podróży,  
myśli podnoszą ramiona wskazując poblądle szyby,  
w stawie płynące śmigła przypominają ryby...

Milczę — zgaszona świeca ma zapach czerwonej róży.

III.

Na wzgórzu pierwszy ślad dębiny zaszeleścił,  
wilgotna barwa mchu nie mieści się w spojrzeniu,  
lecz jeszcze słońca dźwięk odbija się w przestrzeni,  
podaj znużoną dłoń ostygającej pieśni.

Pamiętasz kolor snu? Rysuje się przed zmierzchem,  
zakreśla mleczny krąg, granice niepokoju...

Odwracasz znowu czas, na pokruszonej zbroi  
chłopiec połóżł dłoń, krew poplamia wiersze.

Czytasz — zmarszczkami wód spoważniał ciepły wieczór,  
rdzawy, zamilkły liść przesunął się po karcie...

Ile w nas jeszcze snu, tyle jesteśmy warci...

Rządki zgubionych nut wzór na flakonie nuci.

Kamień przypomniał dom, powracasz oczom ciemnym  
znajome kształty dróg, jak w srebrze kute wazy.

Zbudzony późno świt na piersi twej ukaże  
ileś marzenia wziął z opadłych liści dębu.

Graham GREENE

## KONIEC

Piotruś Morton obudził się i wzdygnął na widok światła. Przez okno widział bezlistną gałąź, zwisającą w poprzek ramy, wypełnionej srebrnym blaskiem. Deszcz izwonił o szyby. Był dzień 5 stycznia.

Spojrzał na drugie łóżko poprzez stół, na którym światło nocnej lampki zbiegało się w plamę podobną do kaluży. Franuś Morton jeszcze spał i Piotruś położył się z powrotem z oczyma utkwionymi w brata. Bawiło go wyobrażenie sobie, że patrzy na siebie samego, na swoje włosy, oczy, wargi i linię policzka. Ale to go wkrótce znudziło, a myśl powędrowała znowu do zdarzenia, dzięki któremu dzień dzisiejszy stał się dniem ważnym. Był dzień 5 stycznia. Z trudem mógł uwierzyć, że już rok minął od ostatniego przyjęcia dla dzieci u pani Henne-Falcon.

Franuś przewrócił się gwałtownie na plecy i zarzucił ramię na twarz, zasłaniając usta. Serce Piotrusia zaczęło uderzać szybko, nie z przyjemności tym razem, a z niepokoju. Usiadł i zawołał poprzez stół: „Obudź się!” Ramiona Franusia drgnęły i chłopiec poruszył w powietrzu zaciśniętą pięścią, ale nie otworzył oczu. Piotrusiowi wydało się, że nagle pociemniało w pokoju, jakby przeleciał jakiś wielki ptak. Znowu zawołał: „Obudź się!” i raz jeszcze było tylko srebrne światło i dźwięk deszczu uderzającego o okna. Franuś przetarł oczy. „Czy mnie wołałeś?” — zapytał. „Miałeś zły sen” — powiedział Piotruś z przekonaniem. Doświadczenie już go nauczyło, jak dalece ich umysły odbijały podobne wrażenia. Ale był starszy o kilka minut i ta krótka nadwyżka światła, w czasie której jego brat walczył jeszcze w bólu i ciemności, obdarzyła go wiarą we własne siły i instynktem opieki nad tym drugim, który bał się tyłu rzeczy.

„Śniło mi się, że umarłem” — rzekł Franuś.

„Jak to było?” — zapytał z zaciekawieniem Piotruś.

„Nie mogę sobie przypomnieć” — odpowiedział Franuś i z ulgą spojrzał na jasny dzień, pozwalając zblednąć fragmentom wspomnień.

„Śnił ci się wielki ptak”.

„Być może” — Franuś przyjął oświadczenie brata bez zastrzeżeń i przez chwilę obaj leżeli w milczeniu, patrząc jeden na drugiego, obaj o tych samych zielonych oczach, tych samych trochę zadartych nosach, stanowczych, uchylonych wargach i tych samych przedwcześnie ukształtowanych podbródkach. 5 stycznia — przypomniał sobie znowu Piotruś — myśl popłynęła leniwie do tortu, do nagród, które można było zdobyć. Wyścigi z jajkiem na łyżce, łapanie jabłek na widelec w miednicy z wodą, ciuciubabka.

„Nie chcę iść — powiedział nagle Franuś — przypuszczam, że Joyce tam będzie... i Mabel Warren”. — Było dla niego okropne, że myśli o zabawie z dziewczynkami. Obie były starsze od niego. Joyce miała 11 lat, a Mabel Warren 13. Ich długie warkoczki powiewały butnie w rytm chłopcowskich jeszcze kroków. Upokarzały go, patrząc spod spuszczonej pogardliwie powiek, gdy niezdarne gramolił się z jajkiem na łyżce. A w zeszłym roku... Odwrócił twarz od Piotra, policzki mu płonęły.

„Dlaczego?” — zapytał Piotruś.

„Och, nie. Sądzę, że się źle czuję. Zaziębłem się. Nie mogę pójść na zabawę”. Piotruś był zdziwiony. „Ale, Franusiu, to nie jest groźne przeziębienie”.

„Będzie groźne, jeśli pójdę na przyjęcie. Może umrę”.

\*) Opowiadanie niniejsze (tyt. oryg. „The End of the Party”) wyjęte jest z tomu nowel pt. „Nineteen Stories”.

„Więc nie pójdziesz” — zdecydował Piotruś z gotowością rozwiązywania wszystkich trudności jednym prostym zdaniem, a Franuś odetchnął z rozkoszną ulgą, głowę pozostawiając wszystko Piotrusiowi. Ale pomimo wdzięczności nie zwrócił twarzy ku bratu. Jeszcze się rumienił na haniebne wspomnienie zabawy w chowanego po ciemku w zeszłym roku i swego krzyku, gdy Mabel Warren położyła mu nagle rękę na ramieniu. Nie słyszał jej nadejścia. Takie właśnie były dziewczynki. Ich bucliki nigdy nie skrzypiały. Deski nigdy nie trzeszczały pod ich krokami. Skradały się jak koty na pazurkach, ukrytych w poduszeczkach.

Kiedy niania weszła z gorącą wodą, Franuś leżał spokojnie, zostawiając wszystko Piotrusiowi, który oznajmił: „Nianiu, Franuś się zaziębł”.

Wysoka kobieta w wykrochmalonej sukni położyła ręczniki na dzbankach i nie odwracając się powiedziała: „Pranie będzie dopiero pojutrze. Musisz nu pożyczyc kilka swoich chustek”.

„Ale, nianiu — zapytał Piotruś — czy nie lepiej, żeby poleżał w łóżku?”

„Weźmiemy go dziś rano na porządną przechadzkę — powiedziała niania. — Wiatr wywieje zarazki. A teraz wstawajcie”. I zamknęła za sobą drzwi.

„Przykro mi” — stwierdził Piotruś, a następnie zmartwiony widokiem twarzy skurczonej znowu przez udrękę i przeczucie dodał: „Dlaczego nie zostaniesz w łóżku? Powiem mamie, że czujesz się zbyt źle, aby wstać”. Ale taki bunt przeciw przeznaczeniu nie leżał w możliwościach Franusia. Ponadto, jeśli zostanie w łóżku, przyjdą i zaczną mu opukiwać klatkę piersiową i włożą do ust termometr, obejrzą język i odkryją, że udaje. Rzeczywiście czuł się źle: miał uczucie czczości w żołądku, a serce biło mu gwałtownie, ale wiedział, że przyczyną tego był tylko lek. Lek przed przyjęciem, lek, że będzie musiał chować się samotnie w ciemnym pokoju bez Piotrusia i bez światła nocnej lampki, czyniącego błogosławiony wyłom w ciemnościach.

„Nie, jednak wstanę” — oświadczył. A potem z nagłą determinacją. „Ale nie pójdę na przyjęcie do pani Henne-Falcon. Przysięgam na Ewangelię, że nie pójdę”. Teraz z pewnością wszystko będzie dobrze — pomyślał. Bóg nie pozwoli mu złamać tak uroczystej przysięgi. Wskaże mu drogę. Miał przed sobą całe rano i całe popołudnie aż do godziny 4-tej. Nie ma potrzeby martwić się teraz, kiedy trawa jeszcze chrzęści od ranego szronu. Jeszcze wszystko może mu się zdarzyć. Może się skaleczyć, albo złamać nogę, albo naprawdę zaziębć się niebezpiecznie. Bóg jakoś to urządzi.

Pokładał taką ufność w Bogu, że kiedy przy śniadaniu matka powiedziała: „Słyszałam, że się zaziębiłeś, Franusiu” — zlekceważył tę uwagę „Usłyszełbyśmy więcej o tym — dodała matka żalobnie — gdyby dziś wieczorem nie było przyjęcia” i Franuś uśmiechnął się niespokojnie, zdziwiony i przestraszony tą jej nieświadomością. Szczęście jego trwałoby dłużej, gdyby tego ranka na spacerze nie spotkał Joyce. Był sam z nianią, ponieważ Piotruś został w domu, aby skończyć klatkę dla królików w drewnianej szopie. Gdyby Piotruś był tutaj, mniej by go to obchodziło, bo niania była także nianią Piotrusia, ale teraz wyglądało tak, jakby była tylko jego opiekunką, ponieważ nie można go jeszcze było puszczać samego na przechadzkę. Joyce była tylko o 2 lata starsza od niego, a chodziła sama.

Nadeszła ku nim posuwistym krokiem z trzepoczącymi warkoczami. Spojrzała z pogardą na Franusia i odezwała się ostentacyjnie do niani: „Halo, nianiu, czy przyprowadzisz Franusia dziś wieczorem na przyjęcie? Mabel i ja przy-

dziemy”. I odeszła w dół ulicy w kierunku domu Mabel Warren, świadoma swej samodzielności i pewna siebie na długiej pustej ulicy. „Co za miła dziewczynka” — rzekła niania. Ale Franuś milczał, czując znów gwałtowne bicie serca i zdając sobie sprawę, jak szybko zbliża się godzina przyjęcia. Bóg niczego nie uczynił dla niego, a minuty upływały.

Upływały zbyt szybko, żeby można było ułożyć jakiś wybieg, albo choć przygotować serce do nadchodzącej próby. Owładnął nim prawie paniczny strach, kiedy zupełnie nieprzygotowany do tego ciężkiego przejścia znalazł się na progu, z kolmierzem postawionym dla ochrony przed zimnym wiatrem, podczas gdy elektryczna latarka niani znaczyła krótki świetlisty ślad w ciemnościach. Poza nim pozostał oświetlony hall. Słyszał jak służący nakrywał do obiadu, który ojciec i matka mieli zjeść samotnie. Już miał ulec pragnieniu, by pobiec do domu i zawołać do matki, że nie pójdzie na przyjęcie, że nie odważy się pójść. Nie mogąc go zmusić, żeby poszedł. Już prawie słyszał siebie, mówiącego te ostateczne słowa, które by przełamały na zawsze, jak instynktownie wiedział, zapórę dzielącą go od rodziców. „Boję się iść. Nie pójdę. Nie ośmielę się iść. Każą mi się bawić w chowanego po ciemku, a ja się boję ciemności. Będę krzyczeć, krzyczeć, krzyczeć”. Już prawie widział wyraz zdziwienia na twarzy matki, po którym nastąpiłaby pełna chłodnej pewności siebie odpowiedź dorosłych.

„Nie bądź głupi. Musisz iść. Przyjmiemy zaproszenie pani Henne-Falcon. Ale nie mogliby zmusić go do pójścia, — wiedział o tym, wahając się na progu, podczas gdy pod stopami niani chrzęściła pokryta szronem trawa koło bramy. Odpowiedziałby: „Możecie powiedzieć, że jestem chory, nie pójdę. Boję się ciemności”. A wtedy matka: „Nie bądź głupi. Wiesz, że nie ma się czego bać”. Ale znał fałsz tego rozumowania. Przecież uczyli go także, że nie trzeba bać się śmierci, a jakże trwożliwie unikali myśli o niej. Nie mogliby go zmusić do pójścia na zabawę. „Będę krzyczeć, będę krzyczeć”.

„Chodź, Franusiu” — usłyszał głos niani poprzez blade połyskujące trawnik i zobaczył, jak mały krążek żółtego światła rzucanego przez latarkę koluje od drzewa do krzaka i znów z powrotem do drzewa. „Idę” — zawołał z rozpaczą, odrywając się od oświetlonych okien domu. Nie mógł się zmusić do wyjawienia swych najgłębszych tajemnic i zniesienia zapory między nim a matką, gdyż jako ostatnia ucieczka istniała jeszcze możliwość odwołania się do pani Henne-Falcon. Tym pocieszał się, posuwając się przez hall — on, taki mały — ku jej olbrzymiej postaci. Serce biło mu nierówno, ale przywitał ją opanowanym głosem jak najpoprawniej: „Dobry wieczór, pani Henne-Falcon. Jak to uprzejmie z Pani strony, że zaprosiła mnie Pani na przyjęcie”. Ze swą pełną napięcia twarzą wzniesioną ku jej obfitemu biustowi i z dobrze obmyślanym uprzejmym przemówieniem przypominał zasuszonego starszaka. Bo Franuś bardzo mało przebywał z innymi dziećmi. Jako bliźniak był pod wieloma względami szczególnym dzieckiem. Dla niego — zwracać się do Piotrusia, to znaczyło mówić do swego własnego obrazu w lustrze, obrazu trochę zmienionego przez szklę na szkło, tak jakby lustro odbijało go nie takim, jakim był, ale jakim chciałby być, jakim by był bez swej nieuzasadnionej obawy przed ciemnością, krokami obcych osób i lotem nietoperzy w mrocznym ogrodzie.

„Słodkie dziecko” — powiedziała z rozłargnieniem pani Henne-Falcon, a potem takim ruchem ręki, jakby za-



## Z A B A W Y \*)

Tłum. Andrea TONCHU RU

Andrzej ŁEPKOWSKI

ganiała stadko kurcząt, włączyła dzieci w wir ustalonej według programu zabawy: wyścigi z jajkiem na łyżce, wyścigi na trzech nogach, łapanie jabłek na widelec. Wszystkie te gry były dla Franusia źródłem upokorzeń. A w licznych przerwach, gdy niczego od niego nie żądano i mógł stać samotnie w kącie możliwie jak najdalej od pogardliwego wzroku Mabel Warren, snuł plany uniknięcia zbliżającej się grozy ciemności. Wiedział, że nie ma się czego bać do końca podwieczorku, i dopiero siadając w kręgu żółtego światła, rzuconego przez 10 świec na wrodziny torcie Colin Henne-Falcon, uświadomił sobie w pełni wiszące nad nim niebezpieczeństwo. Przez gmatwaną myśl, w których krzyżował się teraz tuzin sprzecznych planów, usłyszał z drugiej strony stołu wysoki głos Joyce: „Po herbacie będziemy się bawić w chowanego po ciemku”.

„O nie — zaproponował Piotruś, śledząc z litością, choć nie rozumiejąc go dokładnie, niepokój na twarzy Franusia. — Przystań, bawimy się w to co rok”.

„Ale to jest w programie” — zawołała Mabel Warren. — „Widziałam sama. Zobaczyłam przez ramię pani Henne-Falcon. Godzina 5-ta — podwieczorek. Od godziny za kwadrans szósta do pół do siódmej — zabawa w chowanego po ciemku. To wszystko jest wymienione w programie”.

Piotruś nie sprzeczał się, bo jeśli zabawa w chowanego była częścią programu pani Henne-Falcon, żadne jego słowa nie mogłyby jej zapobiec. Poprosił o drugi kawałek urodzinowego tortu i powoli sączył herbatę. Może uda się odwieść zabawę o kwadrans, co by pozwoliło Franusowi ułożyć jakiś plan w ciągu dodatkowych minut, ale i to zawiodło Piotrusia, ponieważ dzieci po dwójce i po trojce już wstawaly od stołu. Było to trzecie niepowodzenie — i znów jakby odbicie obrazu zrodzonego w nieśwoich myślach zobaczył wielkiego ptaka rzucającego cień skrzydeł na twarz brata. Ale zgnął sam siebie milcząco za to szaleństwo i skończył tort, nabrawszy otuchy przez przypomnienie sobie stałej śpiewki dorosłych: „Nie ma się czego bać ciemności”. Wstając ostatni od stołu, bracia poszli razem do hallu, gdzie spotkali się ze strofującym spojrzeniem pani Henne-Falcon.

„A teraz — oznajmiła — będziemy się bawić w chowanego po ciemku”.

Piotruś spojrzal na brata i tak jak oczekiwał, zauważył, że Franuś zaciska wargi. Wiedział, że Franuś bał się tej chwili od początku przyjęcia, starał się stawić jej mężnie czoło i wreszcie zrezygnował z wysiłków. Musiał modlić się rozpaczliwie o jakiś wybieg, który by mu pozwolił uniknąć zabawy, powitanej przez wszystkie dzieci podnieconymi okrzykami. — „Och, bawmy się”. „Musimy się podzielić”. „Czy można się chować w całym domu?” „Gdzie będzie meta?”.

„Sądzę — powiedział Franuś Morton, zbliżając się do pani Henne-Falcon z oczyma utkwnionymi w jej obrzonym białym — że nie ma sensu, abym się bawił. Niania wkrótce przyjdzie po mnie”.

„Och, Franusiu, przecież niania może zaczeka” — odrzekła pani Henne-Falcon z rozlęgnięciem, klaszcząc jednocześnie w dłonie, by przywołać do siebie kilkoro dzieci, które już wędrowały szerokimi schodami na wyższe piętra. „Twoja mama nie będzie biała nic przeciwko temu”.

To był kres przebiegłości Franusia. Nie chciał wierzyć, aby tak dobrze przygotowana wymówka mogła zawieść. Wszystko, co mógł teraz powiedzieć, — jeszcze w swój pedantyczny sposób, którego inne dzieci nie cierpiały, uwa-

żając go za oznakę zarozumiałości, — było: „Sądzę, że lepiej nie będę się bawić”. Stał bez ruchu i mimo strachu nie zmienił wyrazu twarzy. Ale lęk Franusia, czy też odbicie tego lęku dotarło do świadomości brata. Przez chwilę Piotruś Morton chciał krzyknąć z obawy, że jasne światła pogasną i że pozostanie sam na wyspie ciemności wśród lekkich odgłosów obcych kroków. Następnie uprzytomnił sobie, że to nie on sam się boi, tylko jego brat, i zwrócił się impulsywnie do pani Henne-Falcon: „Proszę pani, nie sądzę, żeby Franuś mógł się bawić. On się tak boi ciemności”. To nie były odpowiednie słowa. Sześcioro dzieci zaczęło śpiewać: „Tchórzliwy ptyś, tchórzliwy ptyś”, obracając złośliwe twarze, jak wielkie słoneczniki w stronę Franusia Mortona.

Nie patrząc na brata Franuś powiedział: „Oczywiście, że będę się bawić. Nie boję się. Tylko myślałem...” Ale mali dręczyciele już zapomnieli o nim i mógł rozważać w samotności zbliżanie się duchowej, gorszej udręki. Dzieci tłoczyły się wokół pani Henne-Falcon, a ich ostre głosiki napastowały ją pytaniami i propozycjami: „Tak, w całym domu. Zgasimy wszystkie światła. Tak, możecie chować się w szafach. Musicie pozostawać w ukryciu, jak długo możecie. Nie będzie mety”.

Piotruś także stał w tłoku zawstydzony, że tak niezręcznie próbował pomóc bratu. W najskrytszych zakątkach mózgu odczuwał całą urazę Franusia za swą niefortunną opiekę. Kilko dzieci pobiegło na górę i światła na najwyższym piętrze zagasiły. Potem ciemność spłynęła jak nietoperz i wyładowała na półpiętrach. Zaczęto gasić światła w głębi hallu, a wszystkie dzieci skupiły się w blasku środkowego świecznika, podczas gdy nietoperze przysiadły wokół na miękkich skrzydłach i czekały, aby i ta jasność także zagasała.

„Ty i Franuś chowacie się” — powiedziała wysoka dziewczynka, a potem światło zgasło i dywan falował pod stopami, jakby wraz z szelestem kroków prześlizgiwały się po kątach małe chłodne przeciągi.

„Gdzie jest Franuś? — dziwił się. — Jeśli będę z nim razem, będzie się mniej bał tych wszystkich szmerów”. „Te szmery” były pewną formą ciszy: skrzypnięcie źle umocowanej deski, ostrożne zamknięcie szafy, dźwięk, jaki wydawał palec przesuwany po wypoliturowanym drzewie.

Piotruś stał po środku ciemnej opustoszałej posiadki, nie słuchając, a tylko starając się domyśleć, gdzie znajduje się jego brat. Ale Franuś przykuwał z palcami na uszach, z niepotrzebnie zamkniętymi oczyma, oniemiały z wrażenia; tylko napięciem woli można było przeniknąć ziejącą ciemność. Następnie jakiś głos zawołał: „już”, i jakby czując, że ten nagły krzyk zniweczył opanowanie brata, Piotruś Morton drgnął ze strachu. Ale to nie on się bał. Paniczny lęk Franusia, nie pozostawiający miejsca na żadne inne myśli, prócz tych, które jeszcze podsycały płomień grozy, — był u Piotrusia altruistycznym uczuciem, nie stojącym w sprzeczności z rozsądkiem. „Gdziebym się schował, gdybym był Franusiem?” Takie były w przybliżeniu jego myśli. A ponieważ był on, jeśli nie samym Franusiem, to przynajmniej jego odbiciem, odpowiedź była bezzwłoczna: pomiędzy dębową biblioteką po lewej stronie drzwi do gabinetu a skórzaną sofką. Piotruś Morton wcale się nie zdziwił szybkością odpowiedzi. Pomiędzy bliźniętami nie mogło być mowy o żadnej telepatii. Kiedyś przebywali razem w łonie matki — i nie można już ich było rozdzielić.

Piotruś Morton podszedł na palcach do kryjówki Franusia. Przy tej okazji zatrzeszczała deska, a ponieważ obawiał się, by nie zostać złapanym przez kogoś z szukających w ciemnościach, nachylił się i rozwiązał sznurowadła. Blaszką uderzyła o podłogę i mełiczny dźwięk skierował cały zastęp ostrożnych stóp w jego stronę. Ale wówczas był już w skarpetkach i mógłby śmiać się w duchu z tej pogoni, gdyby odgłos czyjegoś potknięcia się o porzucone buciki nie odbił się głośnie echem w jego sercu, które zamarło na chwilę, odczuwając przerażenie Franusia. Żadna inna deska nie zdradziła już posuwania się Piotrusia Mortona. W samych skarpetkach podązał w milczeniu i nieomylnie ku swemu celowi. Instykt powiedział mu, że jest blisko ściany, i wyciągając rękę, dotknął palcami twarzy brata.

Franuś nie krzyknął, ale Piotruś po wzdrygnięciu się własnego serca mógł wyobrazić sobie ogrom jego przerażenia. „Wszystko w porządku” — wyszeptał, dotykając po omacku przyćmionej postaci, aż schwycił zaciśniętą rękę. „To tylko ja, zostanę z tobą”. I obejmując go mocno, usłyszał kaskadę szeptów wywołanych przez jego odezwanie się. Jakaś ręka dotknęła biblioteki tuż przy głowie Piotrusia, który uświadomił sobie, że Franuś boi się w dalszym ciągu — mimo jego obecności. Jego lęk był już zapewne słabszy, możliwszy do zniesienia, ale jednak pozostał. Piotruś wiedział, że to, co sam przeżywał, było obawą nie jego własną, ale brata. Ciemność była dla niego tylko brakiem światła, macająca ręka — ręką znajomego dziecka. Cekał cierpliwie, aż go znajdzie.

Nie mówił nic więcej, bo dotknięcie było najlepszym sposobem porozumienia pomiędzy nim a Franusiem. Za pośrednictwem połączonych rąk myśli mogła płynąć szybciej, niż wargi zdolały ukształtować wyrazy. Mógł przeżywać kolejno wrażenia brata: od panicznego wzdrygnięcia się pod nieoczekiwanym dotknięciem Piotrusia do stale pulsującego lęku, regularnego jak bicie serca. Piotruś Morton myślał intensywnie: „Jestem tutaj, nie potrzebujesz się bać. Zapalą wkrótce światła. Nie trzeba się bać szmeru, ani ruchu. To tylko Joyce, to tylko Mabel Warren”. Zасыpywał zwiśnię bezsilnie postać myślami, które miały tchnąć w nią ufność, ale wiedział, że lęk nie ustępował. „Zaczynają szeptać. Są zmęczone szukaniem nas. Zapalą wkrótce światło. Wygramy. Nie bój się. To tylko ktoś na schodach. Pewnie pani Henne-Falcon. Słuchaj. Szukają kontaktu”. Czyjeś stopy poruszyły się na dywanie, czyjeś ręce dotknęły ściany, rozsunęły portierę, poruszyły klamkę i otworzyły szafę. W bibliotece ponad ich głowami stojąca samotnie książka przesunęła się pod dotknięciem. „To tylko Joyce, to tylko Mabel Warren, tylko pani Henne-Falcon” — płynęło crescendo uspokajających myśli, aż świecznik wybuchnął nagle światłem, jak drzewo owocowe kwiatami.

Dziecinne głosy zadźwięczały ostro w blasku: „Gdzie jest Piotruś? Czy szukałyście na górze? Gdzie jest Franuś?”, ale zamilkły na krzyk pani Henne-Falcon. Lecz nie ona pierwsza zauważyła nieruchomość Franusia Mortona, pozostającego wciąż w tej samej pozycji, w jakiej osunął się na ścianę pod dotknięciem ręki brata. Piotruś w dalszym ciągu trzymał zaciśnięte palce Franusia w daremny i pełny zdziwienia strapieniu. Chodziło nie tylko o to, że jego brat umarł. Umysł zbyt młody, żeby w pełni zdać sobie sprawę z paradoksu, dziwił się jednak z niejasną litością nad samym sobą, dlaczego Franuś dalej się boi, kiedy jest już tam, gdzie jak im zawsze mówiono, nie ma strachu ani ciemności. *Graham-Greene*

## Bachowi

*Gdy pełny księżyc noc okrążał letnią,  
pisałeś w smudze z wyjętej dachówki.  
Strych wyszczał muzykę nieodgadniętą;  
jakby kurz w pięciolini promienia seplenił.  
Jabłka pachniały wrzeźniem, który z sadów płynął,  
Księżyc żeglował miastem jak lampion weselny  
I podnosił głowę, by przyjrzeć się jemu.  
A przelot takich spotkań natchnionych i prostych  
chowales pod powieką, znużeniem tak senną,  
że nie widziałeś kartek rękopisu mistrza.  
Ty, późniejszy wskrzesiciel pasji wielkopostnych,  
uszcześliwionych męką dumniejszą od zwycięstw,  
dziecięcymi palcami zastaniałeś okno.  
Świt oblewał je szronem, więc cofales ręce.  
Zasuwana dachówka stuknęła niechcąc —  
a ogromny kłęb mroku zostawał we wnętrzu.  
Po omacku ze skrzyni zagarnięty papier  
szeleścił cichy finał zrozumianej nocy.  
Tylko raz stopień skrzypnął, ażeby cię zdradzić —  
Brat-opiekun odebrał ci mozolne taktę.*

*Wspomnij Dziada — młynarza, który z pulsu żarem  
wyszumował melodię i zaszczerzył tobie  
jak drożdże w młodym piwie. Grywał na gitarze  
rozstrojonej, zeschniętej, obsypanej mąką.  
Zasadził wtedy gęste drzewo rodu  
nadwornych muzykantów u saksońskich ksiąząt.*

*Gdy dzieła najstawniejszych przyswoiles w sobie,  
brat je sobie przywłaszczył, a ty niezawzięty,  
pisałeś tylko częściej rzeczy własne.  
Była w nich szczerą radość z obcowania świętych.  
Organy ją glosiły lub szeptały  
a złociste aniołki siadały na nutach.  
Odganiales je dłonią z piórem gęsim  
— by nie przeszkadzały.*

*Chłopcy z chóru rękę twoją rozumieli.  
Uczyłeś ich wspólnie przeżywania pieśni.  
Wosk skapywał ze świecy, cień po ścianie kreślił  
znaki, których wyspiewać nie umiales — Maestro...*

*...Stala sama na środku pustego kościoła.  
Nim niebieskość jej sukni trafila do ciebie,  
fuga dojrzała pełnią rzeźbionego dźwięku.  
Gdy oderwales palce, sklepienie podrosło  
a echo od ołtarza spłoszyło sukienkę.  
Pod białym utrefieniem miales głowę w ogniu  
i cisnątes perukę, która żarem piekła...  
Trzydzieści lat szczęśliwych, domowych i płodnych  
przeżytes z Magdaleną, a pisząc chorale,  
prales dobrze pieluszki i nianczęyles małych  
Bachów, co podrastali, by władać melodią.  
Lipsk przygarnął muzykę pieruszą z nieśmiertelnych,  
dając za nią talary i żywność i opał.  
Była własnością miejską, a po mszach niedzielnych  
każdy niósł ją do domu w pamięci — na potem.*

*Gdy czerstwą twarz schylales nad szpinetem,  
przychodzili synowie, żeby grać przy tobie.  
Pod czerwień pelargonii stroili klarnety  
i skrzypce przed codzienną muzyką domową  
— a Anna-Magdalena robiła pończochę.  
Wieczór przychodził rudy jak włosy Filipa,  
który patrzył pod światło na pękniętej szybie —  
— I pomimo muzyki było bardzo cicho...*

*Magdaleno — powiedziales.*

*— Czy jesteście wszyscy..?*

*Krążyły puste plamy w twojej świadomości.*

*Magdaleno — a Wilhelm —*

*— a Chrystian...?*

*Byles łysy i śmieszny w poduszkach.*

*Twoja peruka leżała jak ścięta.*

*Otwarte oczy ślepa zatrzymał na niej.*

*Zdawało się, że widzisz.*

*— Czy jesteś Chrystianem... a dziewczynki..?*

*Poznales ich twarze palcami.*

*— Otwórzcie okno...*

*Lipiec dołem szumiał i tokkata ulicy uderzyła w pokój.  
Na twarzy miales jasność pełnego baroku  
gdyś widział swoją wieczność spod zamkniętych powiek  
ty wielki Jan Sebastian astronom harmonii, mistrz pełni  
a może najzwyczajniej — człowiek.*



Józef MAJKUT

## CO ZMIENIŁO SIĘ NA ODPUŚCIE W LIPCACH?

Któż nie zna obrazu z „Chłopów“ Reymonta, przedstawiającego doroczny odpust w Lipcach? Obraz ten jest tak żywy w swoich naturalnych kolorach, tak wyrazisty w półtonach barw, dźwięków i ruchu, że bardziej realistycznie nie można by



Czerwony baldach płynął na przodzie całej w dymach kadzielnym...

go przedstawić w żadnym kolorowym filmie.

Widzimy tu każdy cień, każdy odblask, słyszymy cichy szept pacierzy, senne skamłania o jałmużnę, dzwony i muzykę kościelną, czujemy ulewę słonecznej spiekoty, zapach dymów kadzielnianych. Wiejski odpust został utrwalony tak wiernie, jak gdybyśmy przeżywali go w tej chwili.

Jest to niewątpliwie jedno z najcenniejszych dzieł sztuki pisarskiej, w której literat scenarzysta jest równocześnie malarzem, muzykiem, reżyserem i operatorem. Obraz ten to żywa fotografia, najwyższej klasy literackie „zdjęcie“, obecnie już w dużej mierze — zdjęcie dokumentarne z....

ANNO DOMINI 1900

„Dzień był bardzo cudny, prawdziwie letowy. Może słońce wisiło w pół drogi między wschodem a południem i wynosiło się coraz bardziej palące, kiej lipeckie dzwony ile ich jeno było, zadzwoniły rozgłośnie i ze wszystkiej mocy.

Na odpust ci one tak radośnie zwoływały boć to był dzień, zawdy w Lipcach uroczyste obchodzony.

Zaś skoro dzwony zabimbały, skoro ich głos radosny rozlał się po świecie i w pokrótce na wyschniętych drogach i w tumanach kurzawy, jęły coraz częściej turkotać wozy, a piesi też gęsto ciągnęli, że jak było jeno sięgnąć okiem na wszystkie strony, po drogach, ścieżkami, na miedzach, czerwieniły się kobiece przyodziewy i białe rozwiane kapy.“

„...Skoro jeno zaszygnawali na sume, naród porzucił zabawy i, kiej wezbrany potok lunął do kościoła i tak go napchał jaże zebra trzeszczały, a ciągiem jeszcze przybywali nowi, gnietąc się, a nawet swarząc ale większość musiała ostać na dworze, tuląc się pod mury i drzewa.

Przyjechało też parę księży z drugich parafii, zaś wędli zaraz w konfesjonatach pod drzewami słuchać

spowiedzi, nie bacząc zgola na tok i na spiekę.“

„Zaś po procesji kiej wzięli odprawiać nabożeństwo i kiej głosy organów zachuczały przejmująco, na smętarzu zrobiło się cicho jak

— Jak oni tak tłuką w ten bęben, to aż mi się zimno i gorąco na sercu robi — mówi Jagusia do swej koleżanki Marysi.

— Pewnie masz miętkie serce, bo mnie to nic...  
Granie organów, śpiew, bębnienie wypełnia teraz cały kościół i łączy się w jeden hymn modlitwy, obejmującej wszystkie serca dziękczynieniem, radością chwili...

Boryna widzi się małym chłopcem jak chodził jeszcze na naukę katechizmu i często chował się w wypróchniały pień starej lipy pod dzwonnica. Dziś wejście do tej kryjówki już prawie zarosło i lipa wydaje się przez to jakby młodsza, a człowiek... Ani uwierzyć, że to już na szósty krzyżyk, choć jak sąsiedzi żartują, jest „niedawno po weselu“

Odbyło się to weselisko tak jak w „Chłopach“ któreś niedzieli nad stawem, gdzie niegdyś jakoby stała chałupa Kłębów, czy Paczesiów. Tym razem jednak cała wieś, wszystkie organizacje z kierownikiem szkoły Lachem na czele, który był inicjatorem i reżyserem — urządziła to weselisko tak zdatnie, że zjechało się prawie tyła narodu co dziś na odpust.

W zespole brało udział około 60 osób; nie tylko młodzież, ale i starsi już po pięćdziesiątce, jak Dominikowa, Jagustynka, Jambroży...

Jagusię grała Helcia Pintarówna, a tak prawdziwie, że niektóre kumy aż się poplakały na tym przedstawieniu — przypominając sobie swoje własne wesela. Bo Jagusia w weselnym stroju i w sznurach korali była tak urodna, że aż blask od niej szedł jak od słońca...

Kościół Lipiecki choć stoi w piękny przy drugiej to i tak nie wszystkiej oprawie rozłożystych drzew, choć w ciągu ostatnich 50 lat poprawiany był dwukrotnie, to jednak brak mu tej charakterystycznej dla wiejskich kościołków pogody

Kościół nabitý po brzegi. Kazanie wygłasza dziś ks. Gruda, proboszcz z Godzianowa. Mówi właśnie o strojach, o pięknych ludzkich przyodziewkach, z których najpiękniejszym dla katolika jest jednak szkaplerz.

Mówi składnie i przekonująco, ale jest tak gorąco, że niektórym kapie już z włosów jak ze strzechy, to też ten i ów wypycha się z kościoła na plac — szukając osłony pod drzewami, gdyż na dworze zaczyna już z rzadka popryskiwać...

Nie przeszkadza to jednak w niczym tradycyjnej procesji, która po złotych obrazów, szarfami chorągwi, łopocących w zieleni „riby ptaństwo“, a nade wszystko barwami dzwiczących wełniaków i chustek opasuje kościół jakby żywą tęczę, zamykając się na złotą klamrę św. Hostii.

Monstrancja błyska pod czerwonym baldachem, jak wówczas kiedy to zapewne gdzieś przy tej drewnianej dzwonnicy stał dwudziestoletni urzędnik kolejowy, in spe — laureat Nagrody Nobla, który — według opinii naczelnika — „nie potrafił porządnie napisać raportu“.

Dziś pod baldachem podtrzymywani nie przez dziedziców, jak przódzi, a ino przez starszych lipeckich gospodarzy — kroczy dostojnie ks. Antoni Greta, proboszcz z Janisławie. Inny ksiądz, bardzo podobny z opisu do uwiecznionego w „Chłopach“ dobrodzieja idzie energicznym krokiem z boku procesji niby oficer wzdłuż kompanii i dyryguje śpiewem. W przerwach pomiędzy zaczęciem nowej zwrotki woła od czasu do czasu...

— A sio, a sio! — i macha niecierpliwie brewiarzem na głupią, pstrą kokoszkę, która nie mogąc uciec na zewnątrz, płacze się wciąż pod nogami i wnosi niepoważny nastroj.

Przeglądając po ludziach trudno się oprzeć wrażeniu, że tu i tam przy parkanie pod drzewami — widzimy kogoś z naszych znajomych...

To jakby Hanka ze swoim starszym chłopakiem, przyodziana nie najgorzej, w ładnym pasiaku, ale też widać po rękach, że roboty sobie nie żałuje. Stoi teraz w jakimś głębokim zamyśleniu, któż tam wie o swoich tylko sprawach, czy też i o innych...

Tamto chyba Jagustynka, bo choć przykryta zapaską jak przystoi na starszych, ale mało się modli, tylko poziera dookoła, aby wiedziała co o kim później rzec, jak komu dociąć...

Skulona pod murem, zatopiona w pacierzach od rana, starowinka — to zapewne Agata.

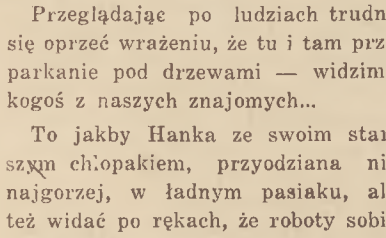
Mężczyzn nie łatwo rozpoznać, którzy są Kłęby, Kozły, Paczesie... W białych parciankach, czyli w letnich płóciennych płaszczach, w jakich stali tu niegdyś, nie widać dziś nikogo, tak jak nie ujrzy choćby na lekarstwo dziedzica ani dziada...

Dziedzice — wiadomo: rozparcelowani. Ale żeby takie wielkie święto mogło się odbyć bez dziadów, które zawsze skamlały tu o jałmużnę, nawet przez sen — tego nikt sobie nie wyobrażał.

A jednak... Mimo nieobecności jednych i drugich odpust trwa dalej. Dziś nikt tu nie zębrze i nikt nie wypęda chłopów spod lipy, aby dziedzice mogli sobie usiąść w cieniu.

Po sumie na odpustowym jarmarku, podobnie jak dawniej, ścisł, rwetes, babski napór na „świętości“ i zabawki. Ale najwięcej to tych tradycyjnych chlebków po 60 zł za różaniec, w których nie ma za grosz cukru, ani soli tylko samo powietrze w

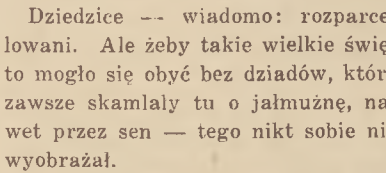
Helena Pintarówna w stroju weselnym jako Jagusia.



dziurkach i odrobina tej mąki zastęglej pianką w przegródkach.

Brak ino katarynki z zamorskim zwierzem i dziada nawołującego do cukierków, ale zarówno słodyczy, jak i różnych loterii na kolory, numery, pary i nie pary jest tyle i tak obłożone, że nie łatwo się wśród nich przepchać. Tym bardziej, że znajomi, a szczególnie chłopki i dziewczuchy chodzą zakłuczeni pod rękę, aby się nie pogubić. Stąd też... „gniot, harmider i wrzaski“ w całych Lipcach od kościoła aż do stawu.

Nad stawem pomiędzy gospodarskimi zabudowaniami, gdzie niegdyś stała karczma — lipeckie chłopaki jeszcze z samego rana ułożyli podługę z desek, umaili ją gęsto zieleńią, że widzi się jakby w jakim zagajniku i teraz po odpuscie, choć deszcz trochę mży — orkiestra której przewodzi syn dzisiejszej Domi-



nikowej — Pintora — wyciąga melodie ponad stawem aż hen w szerokie pola i młodzież tańczy jak w najlepszą pogodę...

Ciągną się jak leniwe smętne chmury „cajmerowskie“ tanga, walce, foxtroty — przejaśnione od czasu do czasu nutą kujawiaka, polki lub ognistego oberka, po którym zwykle następuje przerwa, wydeszka — palenie papierosów.

Potem znów na deskach humor i werwa jak na weselu. Ten i tamten przytupuje, pokrzykuje, śpiewa lub chwytą drugiego za kłapy i pragnie mu wbić do łba swoje argumenty pięścią... Do większych awantur jednak nie dochodzi bo co który zacznie się bardziej rzucać to zaraz inni w kilku zbierają go za kołnierzy...

— Co, mało ci miejsca bracie, to siadaj w rowie i siedź jak na deskach się nie mieścisz — tu nie boks tylko zabawa,

— Albo lepiej chodź na posterunek milicji, niedaleko, tam odpoczniesz...

— Dobrze, że choć są tacy co nie piją to mogą trzymać porządek — mówi Jagusia: która już zdążyła się przebrać, jak powiada po cywilnemu, i również jest na zabawie.

— A gdzież Boryna, czy nie będzie zazdrosny, że pani z obcymi tańczy i rozmawia?

— E, co mi tam po nim. Na scenie może być, ale takiego męża po pięćdziesiątce i z dziećmi to ja nie chce, wołałabym umrzeć starą panną...

— Nie martw się, twoje siostry powychodziły to i ty wyjdiesz — pociesza ją przymilnie koleżanka Henia.

Henia mówi nie bez racji. Jagusi dzisiejszej, jak i tamtej reymontowskiej natura swych darów nie odmówiła: nie jest może kropla w krople, ale w tych niebieskich, tak bardzo polskich oczach — podobna zupełnie. Poza tym jest młoda i zdrowa choć rodzice jej w pracy nie oszczędzają, gdyż na trzech hektarach piasku trzeba dobrze harować aby się utrzymać na równym poziomie z innymi.

Taki to już widać ten „lipiecki“ jak tu mówią naród: zapobiegliwy, pracowity i silny. Rodzice Jagusi mimo że mają już wnuki i minęło im po pół wieku — wyglądają jakby mieli dopiero po pół kopy. Mieszkają w małej chatce na wzgórkach tak ślicznie przez Jagusię obsianym kwiatami, że aż miło popatrzeć. Takich chatek w tę stronę ku Woli jest znacznie więcej. Jest to niewątpliwie dawne, opisane przez Reymonta dworskie wywicisko, na którym pierwszą chatę w tamtych czasach postawił Szymek Dominikowej, brat Jagusi i gdzie jakoby Jagusia Borynowa wywieziona za wieś dokończyła niewesołego żywota.

Ale życie płynie nieprzerwanym torem. W tej chwili nad stawem jest bardzo wesoło. Rozjaśniło się, deszcz przestał padać i zabawa na całego. Do naszej gromadki doszedł jeszcze jeden miły znajomy... Jambroży.

Funkcje kościelnego objął w Lipcach po ojcu jeszcze w 1927 roku i piastował ją przez wiele lat. Obecnie jednak zmienił zawód i jest wóznym w szkole, ale w weselu grał rolę Jambrożego i jest nim w każdym ruchu, słowie... Ogromnie miły człowiek. Na postawione zniecka pytanie co się stało z dziećmi — odpowiada bez namysłu:

— Nic się nie stało. Tylko po co mają dziadować jak mogą żyć lepiej.

Józef Majkut



# Wspomnienie o K. Namysłowskim

## (w 25 rocznicę śmierci)



Szanowna Redakcjo!

ci i nigdy tak mile przez tutejszą publiczność przyjmowani nie byli, jak goszcząca obecnie u nas Orkiestra Włociańska pod dyrekcją p. Karola Namysłowskiego. Dwa pierwsze koncerty sprowadziły tłumy słuchaczy do sali teatralnej, którzy rozkoszowali się swoją muzyką i swojskimi artystami, włocianami przybyłymi z daleka od Zamościa. Wszyscy artyści nie zdejmują swych ubrań, w jakie ubierali się ich ojcowie i dziady. Po tych dwóch koncertach zaproszono muzykalną drużynę na skromną wieczerzę; nagadano się z nimi i naścisniano, a na powszechne żądanie odbył się trzeci koncert również tłumny. Bo jak nie rozkoszować się, kiedy poczciwe kniołki grają z takim zacięciem“.

W dniu 21 sierpnia br. minęło 25 lat od śmierci Karola Namysłowskiego — znanego kompozytora i założyciela naszej orkiestry, która od 1881 r. istnieje do dziś i obecnie dzięki wydatnej pomocy Ministerstwa Kultury i Sztuki rozwija ożywioną działalność.

W ostatnim tegorocznym torunie tylko w ciągu jednego miesiąca poczynając od Chelma poprzez Lublin, Białystok, Suwałki, Elk, Kętrzyn, Olsztyn itd. aż do Warszawy — daliśmy 74 koncerty.

Tak jak obecny dyrygent orkiestry, Stanisław Namysłowski, prowadzi dalej rozpoczęte przed 70 laty zaszczytne dzieło Ojca — tak i my chociaż rozbijani wielokrotnie przez wypadki historyczne staramy się iść śladami naszych ojców, którzy pierwsi przed dziesiętkami lat rozpoczęli próbę koncertów masowych.

Chcąc tak ważny dla nas moment uczcić w jakiś trwały sposób przesyłamy Szanownej Redakcji kilka wycinków z prasy oraz parę fotografii jak również nasze własne wypowiedzi — z gorącą prośbą, jeśli to jest możliwe, o umieszczenie tych wspomnień na łamach Waszego poczytnego Tygodnika jako głębokie wyrazy czci i hołdu w 25-lecie śmierci naszego mistrza i nauczyciela — Karola Namysłowskiego.

Jeśli pismo nasze nie nadaje się w takiej formie do druku, prosimy o wprowadzenie ewentualnych poprawek, bowiem żaden z nas nie ma wyższego wykształcenia ponad 7 oddziałów szkoły powszechnej i stąd te niedociągnięcia.

Licząc na przychylne ustosunkowanie się do naszej prośby łączymy wyrazy należnego szacunku i poważania.

W imieniu zespołu sekretarz orkiestry

Władysław Kusy

URYWKI Z PRASY

Rok 1884 — Lublin.

„Tłumy zalegają salę koncertową. Dano hasło. Wszyscy się z miejsc ruszają. Widać falowanie głów, gdyż każdy chce jak najlepiej widzieć estradę. Kogóż ma na niej zobaczyć. Czy zawiątał do nas drugi Paganini? Może „Diabeł Hiszpański“? Nie. Wyszło ich dwudziestu w świtkach białych włociańskich i grzmi nasza swojska, ohochoza, a przy tym rzewna nuta. Serce rośnie. Wszystkich oczy zwracają się z wyrazem podziękli na dyrektora, który wespół z innymi wywija smyczkiem. Gdy się patrzy na to małe chłopię na prawo od estrady, co tak się przytuliło do swoich skrzypek i wycina od ucha, staje w myśli biedny „Janko Muzykant“.

Rok 1886 — Kalisz.

„Przeróżne towarzystwa dramatyczne i rozmaici artyści nie sprawili nigdy takiej wielkiej, a powszechnej przyjemności

Rok 1904 — Warszawa.

„Dynasy, Dynasy — gra rażno muzyka, obertas, mazurek do duszy przenika, na przyszłą niedzielę zagiąłeś już parol, bo mile czas biegnie, gdzie gra ci pan Karol...“

„Dynasy, Dynasy — sukienka różowa to mignie na wzgórzu, to znowu się schowa i próżno ślesz za nią swe myśli i oczy — co chwila ci ginie wśród kwiatnych roztoczy.

„Dynasy, Dynasy — powolnie dzień kona — muzyka czar noey poeta — i Lona... cóż więcej tu dodać, cóż więcej tu trzeba, by żyjąc na ziemi wrażeń nie mieć nieba.

„Dynasy, Dynasy — tu w środku Warszawy, zakątek miłutki, istotnie ciekawy, na przyszłą niedzielę zagiąłem już parol, bo mile czas biegnie, gdzie gra ci pan Karol“.

Rok 1909 — Śląsk.

„I znów afisz... i to afisz od lat doskonałe wszystkim znany. Afisz dla wszystkich: brązowa sukmana, długie buty, biała okrągła czapeczka, w ręku skrzypki czarodziejskie. Postać znana — chłopiec z Lubelskiego. Możemy nie czytać treści afisza. Namysłowski przyjeżdża. Znowu „Swir, swir za kominem“, rozlega się w uszach, no i w seroach naszych. Kto umie myśleć, przynajmniej, że Namysłowski położył niespożyte zasługi na polu umuzykalnienia ludu i miast. To nie reklama, to tylko pozucie sprawiedliwości...“

Rok 1925 — New-York.

„New-York 17 lutego. Linia Okrętowa „Cunard“ przesłała następującą depeszę: Polska Narodowa Orkiestra pod batutą Stanisława Namysłowskiego wydała na pokładzie okrętu „Aquitania“ jadącego do Stanów Zjednoczonych — koncert, którym rozkoszowały się setki amerykańskich pasażerów. Amerykanie słuchający tego koncertu oświadczyli zgodnie, że koncert ten był jedną z największych w świecie sensacji muzycznych tak pod względem harmonii, jak rytmu, że kierownik tej orkiestry posiada wielki muzyczny talent i że orkiestra ta w swych malowniczych strojach, potrafiąc tak niezwykle atmosferę wytworzyć na okręcie — szturmem zdobył dla siebie muzykalne sfery amerykańskie“.

MUZYKA I CHŁOPI

Jesteśmy muzykalni. Naród nasz wydał wielu sławnych wirtuozów i kompozytorów. Do trwałego repertuaru muzyki międzynarodowej Polacy wnieśli najpiękniejsze pozycje.

Nie wszyscy jednak muzycy w dawnej Polsce nagradzani byli stosownie do swoich zasług. Najbardziej pokrzyw-

zeni bywali ci, którzy poświęcali się upowszechnieniu sztuki muzycznej wśród... swoich! Regułę tę potwierdza między innymi również działalność Karola Namysłowskiego.

Upięknio już pierwsze ćwierćwiecze od śmierci tego pierwszego „muzykademokraty“; utwory jego wciąż żywe i aktualne słyszymy tak często przez radio; istnieje dotychczas od lat 70 i objeżdża wiele miast co rok chłopka orkiestra Namysłowskiego, a mimo tego nikt z muzykologów nie poświęcił temu dziełu najmniejszej nawet broszurki.

Prof. dr. Józef Reiss w swym ciekawym szkicu historycznym — „Najpiękniejszą ze wszystkich jest muzyka polska“ — wywodząc to piękno z muzyki ludowej — życie i twórczość Karola Namysłowskiego zamknął w jednym tylko zdaniu.

Jedno zdanie dla potomnych o człowieku, który nie szukając sławy ani zysku — pracował przez całe życie nad upowszechnieniem sztuki wśród ludu — nam „chłopom z jego parafii“ wydaje się to stanowczo za mało. Dlatego też ośmielamy się o naszym niezapomnianym Profesorze i o Jego niezwykłej drodze — podać drukiem zdania kilka.

Na czym polegała ta niezwykłość? Oto Karol Namysłowski, utalentowany muzyk i kompozytor, ukończywszy z odznaczeniem razem z Paderewskim i wielu innymi Instytut Muzyczny w Warszawie — nie poszedł jak oni wydep-



taną drogą poprzez Wiedeń i Paryż w szeroki świat.

Wybrał drogę mniej ponętną i zdawało by się z góry skazaną na niepowodzenie: wybrał się z wielką sztuką pod strzechy, do niepiśmiennych kmiotków.

Ludzie ci, których wieki kwalifikowały na bydło robocze — w których przez wieki deptano wszystko co ludzkie — jeśli mieli jakieś przeżycia artystyczne, jakieś wyższe połoty ducha, to tylko w kościele, w karczmie i na pastwisku. Tu właśnie, a nie do wielkomijskich salonów, przyszedł Karol Namysłowski, aby poniewierającej się w oborze i w karczmie chłopskiej tęsknocie — udzielić sakramentu sztuki.

To, o czym inni marzyli w poezji — Namysłowski pierwszy zrealizował w muzyce. Realizował w owych czasach, gdy taka lub inna forma uświadamiania ludu była „wobec prawa ciężkim przestępstwem“.

Wyprzedzając epokę, będąc równocześnie kompozytorem, wychowawcą, profesorem i dyrygentem przez lat pięćdziesiąt prawie zbliża sztukę do ludu, a lud prosty wprowadza na wyżyny sztuki, udowadniając tym samym, że nieprawdą jest jakoby chłop od gnoju, do gnoju się tylko nadawał.

On pierwszy żmudną pracą artysty i jej wspólnym rezultatem udowodnił światu, że chłop również posiada wrodzoną kulturę i inteligencję, że role jego nie musi kończyć się przy plugu i w oborze. Trzeba dać chło-

pom warunki rozwoju, wskazać właściwą drogę, a w zespolonym wysiłku, nawet w tak trudnej dziedzinie jak sztuka, mogą wznieść się wysoko.

CHŁOŁ AMBASADOREM SZTUKI

Przedwczesna utrata wzroku od nadmiernego wysiłku i ślęczenia po nocach, nie pozwoliła Karolowi Namysłowskiemu stać się osobistością, obok mistrza Paderewskiego — drugim „ambasadorem muzyki polskiej“ za oceanem.

Jednak zaszczytne to posłannictwo, dzięki „magicznym“ skrzypkom spełnił po raz pierwszy w historii sztuki prosty chłop.

Poprzez dziesiątki lat kmiołek i robotnik polski, dla których nie starczyło tu chleba — emigrowali tam jako siła robocza do najcięższej pracy. Dopiero Namysłowscy dokonali tego, że po raz pierwszy w dziejach emigracji tenże chłop od pluga — wyjechał do swych braci robotnika i chłopca za oceanem — nie jako nędzarz za chlebem — lecz jako artysta, jako człowiek sztuki.

Wyjechał by nieść rodakom radość i pokrzepienie — pobudzić w nich narodowe ambicje, przypomnieć melodie zbóż falujących na ojczytych łąkach — by czarem narodowego piękna wiązać ich z ziemią rodzinną. Oto urywek z recenzji po koncercie w New Yorku:

„Tysiące rodaków radowało się. Tysiące braci i siostr odżyło życiem nowym, gdy z estrady orzeźwiająca ku-

możnowładnej pani, dumnych generał-gubernatorów — spojrzal hardo po wszystkich i zagrał... Słuchali i trudno im było uwierzyć:

„Na widok orkiestry, odzianej w strój ludowy, ogarnia zrazu publiczność niedowierzenie, aby ci, w przeważnej części ci młokosi, mogli grać swoją za „ponować. Jednak z pierwszym gromkim i pełnym siły akordem, rozprasza się niedowierzenie, a jego miejsce zajmuje podziw, rosnący z każdym taktm mistrzowskiej muzyki“.

„Ci chłopcy lubelscy grają mazura tak jak nie gra go żadna kapela na świecie, a przy tym przyspiewują z ogniem swoje wiejskie piosenki, te same, które zwykli śpiewać na swych weselach. Cały temperament polskiego ludu, jego żywiołowość i humor biją od tej gromady, lubliniaków. To nie są koncerty zwykłe o jakich się wkrótce zapomina, to coś, co zostaje w duszy trwale, za czym się tęsknić będzie... Coś wreszcie, co pozwala snuć marzenia o lepszej przyszłości. Niewyczerpane są bowiem zdolności w naszym ludzie, tylko trzeba je umieć wykrzesać“.

„Znać było, że Polacy grają polski narodowy taniec z temperamentem, jakiego w żadnej węgierskiej czy cygańskiej muzyce na próżno by szukać. A musieli oni porwać wszystkich słuchaczy, bo przed chwilą słychać było utwory najsubtelniejsze, pełne artystycznej powagi i powabu, polegającego na zieniowaniu, na pianach i pianissimach, gdy wtem ta sama orkiestra z niebywałą brawurą wykonuje swojski utwór“.

„Zaiste niezwykle to i wzruszający widok tych czerstwych, dziarskich i silnych postaci w białych sukmanach. Utwory komponowane i dyrygowane przez Namysłowskiego, grane z poręcznym ogniem i szaloną ochotą rozentuzjazmowały publiczność. Główną ich cechą to zdrowie, humor i siła. Mimo woli nasuwa się myśl, ile to w naszym ludzie tkwi niewyzyskanych zdolności“.

„Wam drużyno muzyczna cześć za wytrwałość i umiłowanie tej rodzimej sztuki, w której Polska bez słów umiała sudownie wypowiedzieć swych dziejów dołę i niedołę, odmalować bogactwa swych uczuć. I Tobie oliarny Dyrektorze orkiestry, żeś nie pozwolił, by jak ów Janko Muzykant Sienkiewicz — synowie waszego ludu marnowali swe wrodzone zdolności przez obojętność dzielników, lecz żeś im skrzydła ku pięknu i sławie rozwinął. Cześć Wam Kochani Rodacy“.

Takie i tym podobne wypowiedzi, zachwyty, uściski swoich i obcych, drukowane i niedrukowane przez lat kilkadziesiąt, uznając zgodnie niezwykle czar melodyj wiejskiej — widać tylko chłopów w sukmanach spod Zamościa i tylko te... w ręku skrzypki czarodziejskie. A nikt nie zauważył, że na skrzypkach tych gra cała historia pokoleń chłopskich.

Szeroka, rodna ziemia i „kęs chleba w czoła pocie, a na pański stół... lakocie“. Wiekowa krzywda, nędza, niedostatek — rzekoma kara za niepełnienie, a przypisane grzechy pierworodnego chamsstwa.

Ambicja godności człowieka, umiłowanie ziemi, piękna natury i bunt spletanego ducha: stanął wśród nich Bartosz Głowacki z kosą błyskawicą, wyszedł przed panów Szela...

I cięli melodią raz jeden i drugi... I rwali dźwiękami jak burzy nawała — rozszaleli się wichurą w mazurze.

„Od estrady stałe szedł jakiś fluid czerwony. I działał. Szalenie działał... Teatr wybuchł raz po raz istnym huraganem oklasków“.

Bo wszystkim się zdawało, że to chłop z Zamojszczyzny, a to tysiąc lat pańszczyzny tak grało.

Stary Zamość 7 sierpień 1950 r.

MELODIA WSI

Chłop, bite i kopane bydło folwarczne, wydziedziczona z wszelkich praw ludzkiej sierota — „cham“ skazany na wieczne poniżenie, stanął oto po raz pierwszy na estradzie przed obliczom



## \* KSIĄŻKI \*

## \* KSIĄŻKI \*

## \* KSIĄŻKI \*

## R E L I G I A

KSIĄŻKA O KOBIECIE  
CHRZESCIJANSKIEJ

Książka doktora teologii, Piotra Kettera, p.t. „Chrystus a Kobieta” (Warszawa 1948, Wydawnictwo Księży Jezuitów), jest imponującą rozprawą, nie tylko pod względem rozmiarów, (526 stron), ale i wiedzy, rzetelności oraz szczególności analizy egzegetycznej. Znajdujemy w niej wyraźny obraz położenia kobiet w różnych kulturach i epokach przed Chrystusem i poznajemy poglądy na kobietę i jej ocenę ze strony wybitnych przedstawicieli starożytnych cywilizacji.

Na niedoli kobiet w Grecji Rzymie i innych grupach kulturowych doniero występuje rola, jaką kobiecie przeznaczył Chrystus Pan. W Matce Szej dał wzór dla kobiet wszystkich czasów i narodów do naśladowania, a ideał w życiu do wielbienia i oddawania czci. Stosunek Chrystusa do kobiet jest pełen szacunku i uznania ich rzeczywistej wartości. Dlatego za Chrystusem od początku chodzą liczne kobiety, które zostały mu najwierniejsze. Wnikliwa analiza tek-

stów ewangelicznych, w których występują kobiety, wykazuje, jaką rewolucją był ten stosunek Chrystusa do kobiet, wszelkich zresztą stanów i zawodów. Wywoływało to wielkie zgorszenie najbardziej wpływowych naczelników narodu, a nawet samych Apostołów. Chrystus nauczył ludzkość po wszystkich czasach, że kobieta jest równie szlachetną istotą, a nawet często szlachetniejszą od mężczyzny, że jest zdolna do wielkich prac, ofiar i poświęceń, że jej się należy cześć i miłość.

Od pierwszych też chwil powstania Kościoła, kobieta, na równi z mężczyzną, pełni w nim odpowiedzialne i wielkie funkcje, odpowiednie jednak jej naturze i zamiłowaniu. Szeregi wielkich, zdumiewających kobiet, są niezliczone w Kościele w ciągu całej jego historii.

Książkę Kettera powinien przeczytać każdy katolik, który się interesuje kwestią kobiecą. Szczególnie kobiety odmowa z tej lektury wiele pożytku, bo odkrywają w niej same siebie.

Z. J.

NOWE WYDANIE PISM  
ŚW. ANZELMA.

S. Anselmi Cantuariensis archiepiscopi Opera omnia. As fidei codicum recensuit Franciscus Salesius Schmitt, Monachus Grissoviensis, O.S.B., vol. I, II, III. Apud Thomas Nelson et Filios, Edinburgi 1946.

Julian Mariás w artykule „A new edition of St. Anselm”, zamieszczonym w II numerze kwartalnika „The Dublin Review” z 1950 r. (str. 133—135), omawia nowe wydanie pism św. Anzelm. Od krytycznego wydania Gerberona (Paryż, 1675) nie zajmowano się ich ulepszeniem jako całości. Następne wydawnictwa były tylko reprodukcjami Gerberona, zawierającymi często liczne omyłki. Współcześnie zaś wydano jedynie poszczególne utwory.

Nowe wydanie ma się składać z 6 tomów, z których 3 już się ukazały i zawierają: Monologion, Prosligion (włącznie z Liber pro insipiente de Gaunilo i odpowiedzią św. Anzelm), dialogi De grammatica, De veritate, De libertate, De casu diaboli, pierwszą wersję Epistola de incarnatione verbi, 190 orationes, 3 meditations 147 Epistolae, które to listy św. Anzelm napisał, będąc przeorem benedyktynow.

Tom IV i V zawierać będzie — według zapowiedzi wydawcy — listy św. Anzelm, napisane w tych czasach, gdy był arcybiskupem Canterbury, a tom VI — poszczególne fragmenty, indeksy i przypisy.

Wielebny Franciscus Salesius Schmitt przez wiele lat prowadził badania nad św. Anzelmem i znany jest jako wydawca doskonałych tekstów Monologion, Prosligion i Epistola de incarnatione verbi w „Florilegium Patristicum” pod kierownictwem B. Gejera i J. Zehllingera (wyd. Hansetein, Bonn 1929—31). Wydawnictwa jego cechuje troskliwość i staranność. Zamieszcza on wszelkie warianty, mogące się przyczynić do zrozumienia tekstu, ale zachowuje przy tym ceny umiar, który nie pozwala, aby wydawnictwo naukowe, przeznaczone ściśle do użytku filozofów i teologów, zamieniło się w historię tekstu.

\*\*

Graficzna strona wydanych obecnie „Opera omnia” jest również doskonała: piękny druk, doskonały papier, estetyczne, czytelne czcionki, szerokie marginesy, piękna oprawa, VIII tablic reprodukcji z najstarszych wydań. Na pierwszej stronie widnieje znamienna notatka: „Wydrukowane w Seckau w 1-38, zniszczone przez hitlerowców (dost. nazistów) w 1942, reprodukcowane w Edynburgu w 1946 r.

A oto jak „Dublin Review” uzasadnia wielkie znaczenie omawianej publikacji.

„Myśl średniowieczna od drugiej połowy XIX wieku odzyskała należne jej prawa i miejsce w historii (...) Okres średniowieczny, który nie był „wiekiem ciemnoty”, przestał też być takim dla nas wskutek stopniowego rozproszenia ignorancji”. Natomiast, jeśli chodzi o filozofię tego okresu, to na pierwszy plan wysunął się — nie bez słusznych powodów — wiek XIII, a poprzedzające go i następujące stulecia pozostały trochę w cieniu, co w rezultacie zaciemnia sam wiek XIII, który może być dokładnie zrozumiany tylko w historycznym kontekście. W istocie, scholastyzm rozpatrywano wyłącznie w jego najpełniejszej formie — syntezie tomistycznej, poświęcając mniej uwagi jego początkowym i końcowym fazom.

Św. Anzelm jest inicjatorem racjonalizmu. On to właśnie jest twórcą „ontologicznego dowodu” istnienia Boga, co spowodowało późniejszy podział filozofów i teologów na dwa obozy. Ten dowód św. Anzelm ma nie jest bynajmniej tylko formułą dialektyczną, ogłoszoną w rozdziale Prosligion, interpretowaną przez dyskutantów przychylnie lub niekorzystnie, ale wypływa z całej jego postawy, postawy w pewnej mierze paradoksalnej, ponieważ św. Anzelm z jednej strony zapoczątkowuje scholastyzm, a z drugiej jego punktem wyjścia jest wiara. Motto św. Anzelm „Fides querens intellectum” pozwala zrozumieć sposoby konstruowania chrześcijańskiej filozofii. Motto to należy rozumieć zarówno w czysto augustiańskich terminach (wbrew jego pochoждению), jak i podkładając pod nie znaczenie, jakie mogło po-

siadać dla filozofów XIII wieku. Dlatego studiowanie całości prac św. Anzelm stwarza ogromne możliwości dla współczesnej myśli. Związek między religią a filozofią, który bada się zwykle w bardzo wąskim zakresie, rozważany na tle pism św. Anzelm staje się o

## P O W I E Ś C I

ZAMIĄST PRZEDMOWY DO  
„KIPPSA” LUB WYRĘCZAM  
„CZYTELNIKA”

Leży przede mną wydany niedawno przez „Czytelnika” polski przekład „Kippsa”.\*) Niestety, wydawcy nie uważali za stosowne poprzedzić ten 400-stronicowy utwór, stanowiący jeden z przełomów w twórczości Wellsa, choćby krótkim wstępem. Zresztą należało by może zająć się w tym wstępie nie tylko samym utworem, czy nawet osobą autora, ale również i epoką, na której tle działał i która wycisnęła piętno na jego twórczości, która go ukształtowała jako pisarza.

Wells, zarówno jak np. Huxley czy Galsworthy, jest przedstawicielem tego szczególnego okresu na przełomie XIX i XX wieku, gdy zmiany, gwałtownie zachodzące we wszystkich dziedzinach życia, postawiły nagle pisarzy w obliczu szybko zmieniającego się świata. W tym t. zw. „age of indecision” (wieku niezdecydowania) umierały i zanikały stare formy, a na ich miejsce nasuwało się tysiące innych, z których tylko nieliczne były już skrytykalizowane. Ołbrzymi ferment ideologiczny, pomieszanie, konglomerat myśli i pojęć, ścieranie się poglądów, rewizja starych przesłanek i próby oarcia życia na innych, nowych założeniach — oto właściwy obraz tej epoki. Stary świat umierał, a nowy jeszcze się nie narodził. W olbrzymim tyglu myśli ludzkiej wrzały i kipiały walczące z sobą idee.

Śmierć królowej Wiktorii i wojna z Burami otwierają w historii Anglii wrota współczesności. Upadek humanizmu, olbrzymi wzrost uprzedmiotowienia i mechanizacji, wielkie znaczenie pieniądza, nazwanego „antena” przez Samuela Butlera, teorie Darwina i Huxleya, a wreszcie wprowadzenie w r. 1870 przymusowego nauczania, a stąd olbrzymia liczba nowych czytelników — wszystkie te czynniki nie mogły pozostać bez wpływu na literaturę. Wielu pisarzy ma swe własne wzory życiowe, które pragnie narzucić publiczności.

X

Herbert George Wells (1866—1946) urodził się w jednym z przemysłowych okręgów. Jego ojciec był właścicielem sklepu towarów żelaznych, a matka pokojówka. Wells, podobnie jak Dickens, widział zamierające stare tradycje przez drzwi kuchenne. Był jednym z pierwszych przedstawicieli nowej, nadchodzącej klasy. Oddany na praktykę do sklepu sukna własnym wysiłkiem dokształcał się, po czym studiował psychologię w South Kensington. Wzrasta i dojrzewa pod wpływem Huxleya, Darwina, Marxa, Engelsa, Leastera. Pracuje intensywnie, jest przepracowany. Przez pewien czas pracuje jako dziennikarz.

Wells jest wciąż w poszukiwaniu idei. Można powiedzieć, że zżera go wiecny, nie-nasycony głód doktryny. Dostrzegając je i wcielał w swe dzieła. Jak Arnold Bennett stale poszukuje faktów i szczegółów, tak za motto Wellsa

wiele wyraźniejszy, nie tylko dlatego, że ten wąski zakres rozszerza się o konkretną postać wielkiego myśliciela, ale ponieważ poglądy św. Anzelm i dziś przedstawiają szerokie pole do rozwoju myśli chrześcijańskiej.

Sc.

można przyjąć wieczne pytanie: Dlaczego? Dlaczego? Przez czterdzieści lat pisarz ten wywierał największy wpływ na angielskie społeczeństwo. Zrywa z humanitaryzmem i tradycjami, jest entuzjasta wiedzy.

Często zestawia się Benneta, Galsworthy'ego i Wellsa, tak zwanych popularnie „three uncles” literatury angielskiej. Wells w przeciwieństwie do dwóch pierwszych z w/w pisarzy, którzy odmalowują jak najwierniejszy obraz angielskiego społeczeństwa bez wypowiadania własnych poglądów, nie potrafi być obiektywny, jest zawsze rzecznikiem swej doktryny, która, podobnie jak Shaw, stale propaguje. Odwrotnie, niż Galsworthy, Wells nie analizuje, a raczej uogólnia.

X

Gdy „Kipps” ukazał się po raz pierwszy 45 lat temu (w r. 1905), dawni wielbiciel talentu Wellsa byli trochę przestraszeni, a niektórzy rozczarowani nową tematyką. Oczekiwano od niego cudownych opowieści o gwiazdach i planetach, o zadziwiających wynalazkach i szaleńczych inwazjach. W ciągu 10 lat Wells dowiódł, że posiada równie bujną wyobraźnię, jak Jules Verne, a zdolności pisarskie i charakterystyczne nieporównanie wyższe, dzięki czemu nadawał marzeniom cechy prawdopodobieństwa. Ten więc rodzaj literacki uważano za właściwą mu formę twórczości, a jego wierni, choć wówczas jeszcze nieliczni wielbiele, byli cokolwiek zaskoczeni tą inwazją. W pewnym sensie mieli rację, bo choć Wells niejednokrotnie jeszcze wracał do poprzedniej formy, ale nigdy już nie stworzył „Time Machine” czy „Island of Dr. Moreau”. Lecz w końcu „Kipps” został należycie oceniony, a krąg wielbicieli jego autora znacznie się rozszerzył.

Wells miał więcej do powiedzenia, niż mógł wyrazić w ramach t. zw. „scientific romance” (powieści naukowej). Nie wystarczało mu wynaleźć człowieka, który potrafił być niewidzialnym. Musiał go uczynić żywym i zupełnym. Chciał nie tylko pokazać ludzkość, jaką jest i jaka mogłaby być, ale pragnął ją także przekonać, że postępowała lepiej. Był socjologiem o gorącej wyobraźni i płomiennym kaznodzieją. Nienawidził okrucieństwa, bólu, marnotrawstwa i chciał, by inni też ich nienawidzili, chciał ich obudzić z letargu, w którym byli beztropko pogrążeni. Opowieść o niewidzialnym człowieku, czy o stworzeniach na wyspie Dr. Moreau może służyć do wyrażenia ogólnej prawdy, ale nie przemawia tak gorąco i przekonująco jak zwykle ludzkie istnienia w codziennych okolicznościach i dlatego Wells napisał „Kippsa”... „głupie małe tragedie dwojga ograniczonych i przyziemnych istot” (str. 389).

Kippsowie to... „dzieci, które odczuwają jednak ból, które są niegrzeczne, zahukane i cierpią nie rozumiejąc dlaczego” (s. 390). Więc wyjaśnia przyczynę ich cierpienia: „Kiedy myślę o Kippsach pogrążonych w ciężkim zmartwieńcu, wzrok mój przemyka mroki

noy. I cóż widzę? Wysoko nad ich głowami widzę potwora, niezgrabnego ociężałego zwierza, który przypomina labiryntodonta z Pałacu Kryształowego, Cloote'a lub ołowianą boginię z „Duncjady”, który przypomina także grubego, nadętego lokaja, uosobienie pychy, lenistwa i tego, co ciężkie, przykre i krepujące w życiu. Jest to symbol przesądów i ciemnoty, trucizny dla duszy, symbol potęgi rządzącej tym krajem—Głupoty. Moi Kippsowie żyją w jej cieniu” (str. 389—390).

Ta głupota sprawia, że w Kippsie prostota i bezpośredniość walczą o lepsze z pretensjonalnością, że Kipps jest śmieszny. Mógłby ktoś postawić zarzut, że powieść ta w zestawieniu z poprzednimi, pełnymi fantazji utworami jest zacięciem tematyki. Ale sprawę tę wyjaśnia całkowicie Edward Shanks w przedmowie do angielskiego wydania „Kippsa” z r. 1930: „Zakres tematu wyznaczają intencje autora, a nie sama treść. Nikt więc nie może powiedzieć, że Wells dał wąskie ujęcie swemu wspaniałemu humorowi w

## E S S A Y E

## RECEPTA NA SZCZĘŚCIE

Stosunki międzyludzkie rzadko osiągają poziom ideału. Powoduje to wiele nieszczęść i tragedii, wylacza pewne jednostki poza ramy społeczności, inne wykojeja lub zgoda zabija. Dale Carnegie — oczywiście Amerykanin! — postanowił to zło naprawić i spisał szereg wskazówek, pouczając „Jak uszczęśliwić innych i samemu być szczęśliwym” (\*). Książeczkę tę mamy właśnie przed sobą w przekładzie i streszczeniu polskim. Weźmy pod uwagę to jej moralizatorskie zadanie przy próbie jej oceny. Bo zaraz po przeczytaniu książeczki nasuwa nam się porównanie z tyłoma innymi „umoralniającymi” książeczkami, które pisane są tak nudnie i szablonowo, że stają się wprost nieczytelne. Porównanie to wypada zdecydowanie na korzyść Carnegie'a, którego książeczka — mimo pewnych szablonowych chwytów, jak np. metoda ilustrowania anegdotami historycznymi wyrażonych zdań — na pisana jest z dużą świeżością, zręcznością i urokiem. Styl jego jest prosty, skromniutki, równy pod uwagę to wypada zdecydowanie na korzyść Carnegie'a, którego książeczka — mimo pewnych szablonowych chwytów, jak np. metoda ilustrowania anegdotami historycznymi wyrażonych zdań — na pisana jest z dużą świeżością, zręcznością i urokiem. Styl jego jest prosty, skromniutki,

## PUSZKIN

Pierwsza część biografii Puszkina pióra Jurija Tymianowa\*) przez wiernie odmalowane wrażeń srodowiska, w jakim wzrastał wielki poeta rosyjski, rzuca dużo światła na jego sylwetkę.

Prosty tok opowiadania, własnie przez swą prostotę i dokładność, uwypukla nienormalność psychiczną jego rodziców i krewnych. „Zimny dom”, „koczownicza rodzina” — te słowa autora najtrafniej chyba odmalowują atmosferę, panującą w domu Puszkina. Zabłąkany w niezrozumiałym świecie ludzi dorosłych, obcy własnym rodzicom i rówieśnikom, mały Aleksander znajduje zrozumienie jedynie u starej niani Ariny. Jej ludowe piosenki i wierzenia (por. np. wspaniały rozdział 6-ty o pierwszym śniegu), ukradkiem pochłaniane francuskie książki z biblioteki ojca i jego „gwardyjskie zeszyty” oraz przetwarzane na poetycką wizję prze-

postaci tego bezmyślnego młodego człowieka. Dla zoologa dokładny opis myszy polnej jest równie interesujący z punktu naukowego, co opis słońca. Kipps jest dla Wellsa taką myszą polną, którą wraz z jej małym światkiem opisał ze znajomością rzeczy. Po raz pierwszy ujawnia tu na większą skalę swój zmysł komizmu, a każdy opis technicznie żywym.

W „Kippsie” można odnaleźć momenty autobiograficzne. Opisując losy Kippsa na praktyce w magazynie materiałów blawatnych Wells czerpał z pewnością z zasobu własnych wspomnień z analogicznego okresu.

Przekład Celiny Wieniewskiej — dobry. Tłumaczka potrafi oddać humor i finezję określeń. Wpada w styl i nastrój autora.

Tylko dlatego, że wiadomo czy tłumacz, czy wydawca, uparcie zmienia Mr. Chestera Coote na Cloote?

Sc.

\*) H. G. Wells: „Kipps”, tłum. z ang. Celina Wieniewska. „Czytelnik”, Warszawa, 1950, str. 422.

Hłakowiczówna streszcza (inne cytuję w całości), — wykonane to jest dość niefortunnie, bo chwilami nie wiadomo, czy to „oratio recta” czy „oratio obliqua”. Może wydawnictwo powinno było wyodrębnić to graficznie, niekoniecznie w formie tradycyjnego cudzysłowu, który by tu się raczej nie nadawał, ale np. partie streszczane drukując kursywą. Sprawa niby drobna, ale jednak istotna i książeczka wiele by na jej właściwym rozwiązaniu zyskała.

A jakaż wartość mają rady Carnegie'a? Ograniczają się one raczej do negatywów, zabezpieczając przed nieprzyjemnościami metodą na ogół „ugodową”, poddając się ludzkiemu słabostkom nie próbując ich wykorzystać (u bliźnich — stosujący się do nich jest do „naprawiania się” zobowiązany). A choć skrojone są raczej minimalistycznie i chwilami są niesłuszne (np. „unikaj dyskusji”), to jednak trudno im odmówić zdrowego sensu.

W. R.

\*) Dale Carnegie: „Jak uszczęśliwić innych i samemu być szczęśliwym?” Streszcza Kazimiera Hłakowiczówna. Wyd. Albertinum — Księgarnia św. Wojciecha. Str. 107.

\*\*

życia świata zewnętrznego — kształtują wrażliwy umysł brzydkiego, nieulubianego chłopca.

Drugą wielką zaletą tej książki obok wyczerpania właściwej atmosfery jest dyskretny umiar. Scena z Nikołaszką właśnie dzięki artystycznemu umiarowi robi głębokie wrażenie krzywdy biednego kucharza. W jego pogroźkach słyszy się jakby naciągający grzmot, zapowiedź jeszcze dalekiej, ale nieuniknionej burzy.

Część I kończy się wyjazdem poety do szkół w Petersburgu. Cz. II rozwinięte zapewne zaznaczone wątki: już pierwsze strony brzmią echem puszkiniowskich poezji „Pasiaste ślupy wiorstowe”, szaleństwa burz i wichrów; dźwięk dzwoneczków rozpedzonych sanek, układają się w znane słowa: „buria mgłozu niebo kroje!”.

Przekład dobry. Oddaje styl i nastrój literatury rosyjskiej.

Sc



## TYDZIEŃ KULTURALNY TYDZIEŃ KULTURALNY TYDZIEŃ KULTURALNY

## W Kraju

Ministerstwo Oświaty przeznaczyło w r. 1950 z funduszu państwowych około 2,5 miliarda złotych na stypendia dla młodzieży, kształcącej się w szkołach podstawowych i w średnich ogólnokształcących oraz w zakładach kształcenia nauczycieli.

×  
Krakowskie „Collegium Maius“ rozpoczęło przed kilku miesiącami prace rekonstrukcyjne, obliczone na trzy-cztery lata trwania. Budynek „Collegium Maius“ należący do jednego z najlepiej zachowanych w Europie wzorów (jeżeli chodzi o czystość stylu) średniowiecznego budownictwa gotyckiego, w drugiej połowie ub. stulecia zeszpecony, został przez architektów wiedeńskich masą „pseudo- i neo-gotyckich“ ozdóbek. Aby ustalić autentyczny wygląd budynku przeprowadzono kilkulatnie badania archiwalne, które dały w rezultacie ponad 2.000 wzmianek i dokumentów. Na tej podstawie ustala się dziś szczegóły po szczególe. We wszystkich niemal salach odkryte zostały spód zaprawy murarskiej cenne polichromie, odsłaniane dziś przez studentów Akademii Sztuk Pięknych centymetr po centymetrze. Spełniająca sensacją było odkrycie w jednej z dawnych sal wykładowych, na parterze gmachu, fresków, będących ongiś

pomocami naukowymi w nauce geometrii (odpowiednik dziejszych tablic). W zakamarkach i na strychach gmachu odkryto piętnasto- i szesnastowieczne sprzęty, pomoce naukowe oraz dokumenty na podstawie których można będzie zrekonstruować mieszkania profesorów i uczniów z najwcześniejszego okresu istnienia uczelni. Badania w Collegium Maius znajdują się dopiero w pierwszym studium.

×  
W Krakowie w Lokalu Związku Literatów Polskich — otwarto Klub Literacki, analogiczny do stołecznego.

×  
Gliwice przygotowują się do obchodu 700-lecia istnienia miasta. Uroczystości trwać będą od 1 do 15 października, złożą się na całość tej interesującej imprezy: wystawy, zjazdy, przedstawienia teatralne, igrzyska sportowe. Na terenie Politechniki Gliwickiej odbędzie się ogólnopolskie posiedzenie sesji naukowej poświęconej zagadnieniu mechanizacji i elektryfikacji kopalni. Położony zostanie kamień węgielny pod budowę dzielnicy akademickiej.

×  
We wsi Świnin (pow. Goścynin) w świetlicy miejscowej, nowoorganizowanej spółdzielni produkcyjnej urzędowa została wystawa prac z za-

kresu malarstwa, rzeźby, grafiki, fotografii oraz sztuki ludowej. Wystawiane były obrazy z ostatniej ogólnopolskiej Wystawy Plastyki oraz ekspozycje wyróżnione na innych wystawach.

×  
Po zamknięciu wystawy w Świnarach — przeniesiona ona zostanie do innych pobliskich miejscowości.

×  
Państwowe Muzeum Śląskie we Wrocławiu zorganizowało w Jeleniej Górze wystawę „Śląsk w pradziejach Polski“. Jednocześnie w Domu Kultury w Jeleniej Górze otworzona została wystawa grafiki meksykańskiej.

×  
Redakcja pisma codziennego „Sztandar Młodych“ rozpisła konkurs otwarty (nie mogą w nim brać udziału członkowie ZLP) na powieść, nowelę lub opowiadanie z życia młodzieży polskiej.

×  
Na ekrany kin wszedł nowy polski obraz „Dwie Brygady“, nagrodzony w dziale filmu eksperymentalnego (eksperyment polegał na zespołowej realizacji — reżyserii i operatorce — przez grono słuchaczy WSF, pod kierunkiem Cękalskiego i Forberta) na Festiwalu w Karłowicach Varach oraz nagrodą Państwową Artystyczną w roku bieżącym.

lńskiego „Przed Świtem“ tom opowiadań z kampanii wrześniowej 1939 roku.

„Czytelnik“ dał nowe wydania kilku wartościowych książek. W wydaniu albumowym Marii Dąbrowskiej „Noce i Dnie“ i Jana Parandowskiego „Mitologia“. Świetna ta książka przedstawia wierzenia i podania antycznych Greków i Rzymian doczekała się piątego wydania w estetycznej szacie graficznej z licznymi ilustracjami.

Ciekawie przedstawia się dział literatury obcej, której „Czytelnik“ wydał 29 tytułów, większość wyszła w różnych klubach: „Odrodzenia“, „Dobrej Książki“, „Dom i Świat“, „Biblioteka w prenumeracie“, w „Bibliotece tekstów rosyjskich“ i w „Bibliotece stułotowej“.

Cykl książek Jorge Amado, postępowego pisarza brazylijskiego żyjącego na emigracji: „Kakao“, „Ryccerz nadziei“, „Świt Brazylii“, „Ziemia krwi i przemocy“ został powiększony o powieści „Ziemia złotych płodów“ i „Jubiada“.

Powieść Alberta Halpera, współczesnego postępowego pisarza amerykańskiego „Dom pod Starym Łuczynem“, osnuta na tle wielkiego zakładu galwanizacyjnego w Chicago, pokazuje życie robotników i właścicieli.

Z literatury angielskiej „Czytelnik“ dał nam powieść niesamowitą „Wichrowe wzgórze“ E. Bronte, autorki z XIX wieku i Wellsa „Kipps“.

Literaturę francuską reprezentuje Luis Aragon, pierwszą częścią wielkiego cyklu powieściowego, zakrojonego na 12 tomów p. t. „Komuniści“.

Współczesną literaturę odrodzonych Niemiec zaprezentował nam „Czytelnik“ powieścią Anny Seghers „Ocalenie“. Warto tu wspomnieć, że niedawno wydał również powieść tej autorki p. t. „Umarli pozostają młodzi“.

„Czytelnik“ dał nam wiele cennych książek z literatury rosyjskiej i radzieckiej w dobrych tłumaczeniach i w pięknej szacie graficznej: M. Gorkiego: „Dzieciństwo“ i „W Ameryce“, świetna powieść historyczna w dwóch tomach Lwa Tolstoja „Pokój i wojna“ — i M. Leskova „O tuskim małku“.

Z literatury radzieckiej otrzymaliśmy wznowienie powieści „Piotr I“ w wydaniu albumowym oraz nowości Wiery Inber „Obciążone miasto“ i obszerna powieść Siergieja Gółubowa „Narodziny epoki“. Akcja tej powieści toczy się w Rosji carskiej przed pierwszą wojną światową i daje pełną charakterystykę całego społeczeństwa rosyjskiego.

W tym półroczu „Czytelnik“ wykażal duży inicjatywę projektując nowe wydawnictwa, a więc „Złoty serię literatury rosyjskiej“, „W kuzni planu 6-cioletniego“, „U podstaw wiedzy“ i „Bibliotecę stułotową“. Ta ostatnia daje chyba najtańszą książkę, za sto złotych otrzymujemy obszerny tom aktualnego reportażu, ciekawych opowiadań i tegiej powieści dawnych lub współczesnych pisarzy. Dotąd ukazały się: J. I. Kraszewskiego powieść obyczajowa z ubiegłego stulecia p. t. „Czarna perelka“, J. Kurecz „Niczujak“, powieść, której akcja toczy się w 1936 roku, H. Leberechta „Światło w Kordii“ współczesnego pisarza estońskiego o wielkich przemianach wsi estońskiej, którą ogarnął prąd życia socjalistycznego, G. Gulia „Dobre miasto“ — opowieść o życiu młodego górala, który przyjechał z gór kaukaskich do Moskwy, dalej Mulk Raj Ananda, młodego powieściopisarza hinduskiego „Dwa liście i pak“, powieść o życiu kulisów na plantacjach w Indiach. Wreszcie dwie książki młodych laureatów państwowych nagród artystycznych: W. Zalewskiego tom opowiadań „Traktory zdobędą wiosnę“ i M. Kowalewskiego „Kampania znaczy walka“. Jest to powieść licząca niemal czterysta stron, osnuta na tle pracy w cukrowni w okresie wzmózonej pracy w czasie cukrowej kampanii.

Poważnym dorobkiem poszczycić się może Państwowy Instytut Wydawniczy, który wypuścił na rynek książkę 53 tytuły w 65 tomach. Z górą 80 procent tego dorobku stanowią wydawnictwa z literatury

pięknej. Około 18 procent zajmują literatura społeczno-polityczna.

W dziale klasyków polskich PIW prowadzi od roku ubiegłego wydanie zbiorowe Dzieł Henryka Sienkiewicza, pod redakcją prof. Juliana Krzyżanowskiego. W ostatnim półroczu ukazały się dalsze tomy: „Na polu chwały“, „Pan Wołodyjowski“, „W pustyni i w puszczy“, „Listy z podróży do Ameryki“ i cztery tomy prac publicystycznych. Ponadto pięć tomików popularnego wydania znanych nowel i nowe wydanie „Krzyżaków“.

PIW zapowiedział wydanie wszystkich dzieł Stanisława Wyspiańskiego dotąd ukazało się tylko „Wesole“ ze wstępem K. Wyki.

Kilka książek wydanych w ubiegłym roku zostało szybko rozsprzedanych, więc zostały wznovione. I tak „Mickiewicz“ M. Jastruna, laureata państwowej nagrody artystycznej ukazał się w nowej stylowej edycji w dwóch tomach. Książka została uzupełniona nowymi rozdziałami.

Również powieść biograficzna P. Hertza „Portret Słowackiego“ doczekała się drugiego wydania w nowej pięknej szacie graficznej.

W dziale literatury pięknej ukazały się: tom opowiadań i wierszy S. R. Dobrowolskiego pt. „Notatnik warszawski“, M. Rusinka „Młody wiatr“ i nowy drugi tom Lucjana Rudnickiego pt. „Stare i Nowe“.

PIW posiada duże zasługi w uprzyśtępnieniu nam dzieł najlepszych pisarzy obcych narodów, choćby wymienić obszerne powieści: M. Szyszkowa „Posępna rzeka“ i „Jemień Pugaczow“, Zadornowa „Wielka rzeka Amur“, St. Kalinzenki „Pascha“, opowiadania kameczackie.

W tym dziale znajdujemy dwie historyczne powieści I. Wazowa, wielkiego bułgarskiego powieściopisarza „Pod jarzmem“, tom I i II i „Niemili i niekochani“. Wydanie tych powieści zbiegło się z 100-ną rocznicą śmierci tego pisarza.

Do dwóch tomów świetnych powieści J. Conrada, znakomitego piewcy morza i oceanów, wydanych przez PIW „Lord Jim“ i „Zwierciadło morza“ doszła powieść „Smuga cienia“.

PIW dał nam kilka dobrych powieści autorów czeskich. A. Jiraska „Uroki świata“ i W. Majerowej „Syrrena“, a z literatury słowackiej powieść P. Jilemnickiego pt. „Kronika“.

Powieść ta osnuta jest na tle walk patriotów słowackich ze zdrajcami i hitlerowskim okupantem w czasie drugiej wojny światowej.

Zapowiedziane wydanie pism R. Rollanda zapoczątkowane zostało wydaniem pierwszej części powieści „Jan Krzysztof“.

W dziale tłumaczeń z literatury francuskiej ukazała się piękna stara powieść „Pan na Piaskowym Zamku“ J. De la Madelene, francuskiego pisarza z XIX wieku, odkrytego przez L. Aragona.

Ciekawie przedstawia się dział literatury społeczno-politycznej. Ukazały się w nim: nowa książka laureata nagrody państwowej L. Kruczkowskiego „Spotkania i konfrontacje“, S. Wygodzkiego „Widzenie“, G. Jaszunskiego „Szkice amerykańskie“. Z obcych pisarzy ukazały się książki V. Poznera „Stany nie bardzo zjednoczone“, Ch. Ejdusa „Japonia między wojnami“, dająca prawdziwy obraz krainy wschodzącego słońca oraz książki angielskiej pisarki B. King p. t. „Oświata i wychowanie w ZSR“.

Znamienna cecha wszystkich wydawnictw PIW, wyróżniających je wśród najlepszych książek, jest ich estetyczna szata graficzna i piękne, pomysłowe okładki.

×  
Wiele poważnych i ciekawych książek wydały inne mniejsze wydawnictwa.

Plan wydawniczy na rok 1950 przewidywał wydanie około 85 milionów egzemplarzy książek.

W ciągu pierwszego półroczia wydano 2542 tytuły w ogólnym nakładzie 59 milionów egzemplarzy.

Jeśli w drugim półroczu tempo nie osłabnie, a tylko utrzyma się — to nasz plan wydawniczy wykonany zostanie z wielką nadwyżką, idącą w kilkanaście milionów egz., co będzie pięknym osiągnięciem.

Stanisław Podlewski

## RUCH WYDAWNICZY

Na początku tego roku pisałem o planie wydawniczym na 1950 rok i o książkach, które ukazały się na półkach księgarskich.

Teraz chciałbym dokonać przeglądu: w jakim zakresie ów plan wydawniczy został wykonany i jakie książki otrzymaliśmy w pierwszym półroczu z naszych największych spółdzielni wydawniczych.

Na czele co do ilości wydanych książek kroczy spółdzielnia „Książka i Wiedza“, która w pierwszym półroczu wydała 387 tytułów, w objętości około 3130 arkuszy wydawniczych, w ogólnym nakładzie 15.987.000 egzemplarzy.

Wydawnictwo prowadzi kilka szeroko rozwiniętych zasadniczych działów, a więc aktualno-polityczny, marksistowski, literatury pięknej ze specjalnym uwzględnieniem literatury radzieckiej, prawnohistoryczny (do niedawna społeczno-polityczny), popularno-naukowy i literatury dziecięcej.

Nie sposób omówić cały dorobek wydawniczy we wszystkich działach; zajmijmy się tylko niektórymi. Najbogatszy co do ilości tytułów jest dział literatury pięknej, liczący 175 tytułów.

„Książka i Wiedza“ prowadzi na wielką skalę zakrojone wydawnictwo klasyków literatury polskiej, wydania zbiorowe dzieł wszystkich, wybory pism. Z wydania zbiorowego pism B. Prusa, pod redakcją prof. Z. Szwejkowskiego, ukazało się dalszych pięć tomów „Nowel, opowiadań i fragmentów“ oraz tanie wydania „Lalki“, „Faraona“ i „Placówki“, w wielkich nakładach.

Zbiorowe wydanie pism wszystkich E. Orzeszkowej, której w tym roku przypada 40-sta rocznica śmierci — posunęło się znacznie naprzód. Ukazały się obszerne powieści: „Pan Graba“, tom I i II, „W klatce“, „Mirtala“ i „Panna Antonina“.

Poza tym znane powieści „Cham“, „Marta“ i „Dziurdziowie“ zostały wznovione w wielkich nakładach, każdy tytuł po 100 tysięcy egzemplarzy, w pięknej szacie graficznej, w

trwałej oprawie półpłóciennej i po bardzo przystępnej cenie.

Również wydanie pism wybranych Adolfa Dygasińskiego, pod redakcją B. H. Hodyskiego, powiększyło się o trzy tomy wartościowych powieści: „Na pańskim dworze“, „Na złumanie karku“ i „Zając“.

Zapoczątkowane w tym roku wydanie wybranych pism Gabrieli Zapolskiej, pod redakcją J. Z. Jakubowskiego osiągnęło cztery tomy „Utwory dramatyczne“, obejmujące znane sztuki „Zabusia“, „Moralność Pani Dulskiej“, „Ich czworo“ i „Panna Maliszewska“, dalej powieści: „Kaska Karjatyda“ i „Sezonowa miłość“ oraz „Drobne utwory“ (z cyklu „Menażeria ludzka“ i „Przez moje okno“).

Obok tych zbiorowych wydań ukazały się w „Małej Bibliotece „Książki i Wiedzy“ pomniejszych twórcy klasyków, obrazki, fragmenty, opowiadania i nowele: Prusa, Konopnickiej, Orzeszkowej i Zapolskiej.

W „Bibliotece Pisarzy Polskich i Obcych“, wychodzącej pod redakcją K. Budzika, ukazały się we wzorowej edycji: „Dworzanin“ Łukasza Górnickiego, „Sarmatyzm“ komedia F. Zabłockiego, „Wybór wierszy“ W. Potockiego i „Wybór poezji“ A. J. Morstina.

Dział literatury radzieckiej wzbogacony został nowymi 37 tytułami. Otrzymaliśmy ciekawe obszerne powieści współczesne I. Erenburga „Burza“, F. Panfierowa w czterech tomach „Bruski“, S. Babajewskiego „Kawaler Złotej Gwiazdy“, K. Pautowskiego „Dni lata“, H. Krawczenki „Rodzina Naliwajko“, M. Muratowa „Ku dalekim wybrzeżom“, obszerny wybór poezji „Wiersze i poematy“ W. Majakowskiego.

Z obcej literatury pięknej otrzymaliśmy ponadto najwięcej tłumaczeń z literatury francuskiej, dalsze tomy powieści Balzaka w świetnym tłumaczeniu Boy'a. Stendhala „Lucjan Lauwen“ w dwóch tomach, G. Maupassanta „Historia pewnego życia“, E. Zola „Kłeska“. G. Flauberta powieść „Salambo“. Jest to już trzecia książka tego świetnego pisarza,

obok poprzednio wznovionych „Pani Bovary“ i „Trzy opowieści“, dalej A. Daudeta „Niezwykłe przygody Tartarena z Taraskonu“.

W tym dziale wymienić należy wydanie dwóch dalszych powieści Karola Dickensa „Nasz wspólny przyjaciel“ i „Ciężkie czasy“.

„Książka i Wiedza“ wydała wiele książek autorów polskich, choćby wymienić tomy poezji L. Staffa, J. Kasprowicza, Wł. Broniewskiego, M. Jastruna, S. Wygodzkiego, T. Kubiaka, tomy prozy S. Kowalewskiego „Odzyskany świat“ i „Proste drogi“, St. Zielińskiego „Dno miski“, W. Zalewskiego „Bron“.

Nasza najstarsza spółdzielnia wydawniczo-oświatowa „Czytelnik“ wydała w pierwszym półroczu 110 tytułów w ogólnej ilości 1.679.700 egzemplarzy.

W tym z polskiej literatury pięknej otrzymaliśmy 36 tytułów, a z literatury obcej 29 tytułów.

Wydanie dzieł J. I. Kraszewskiego pomnożone zostało przez powieści historyczne: „Interesa rodzinne“ w czterech tomach i „Za Sasów“, powieść w dwóch tomach z czasów Augusta II-go. Wznoviona została świetna powieść „Hrabina Cosel“ w dwóch tomach.

Bogaty cykl ciekawych powieści T. Jeża powiększył się o ciekawe obszerne powieści „Rotulowicze“ — romans historyczny z dziejów Starej Serbii i „Słowiański herceg“, a wznoviony został „Szandor Kowacz“. Powieść jest osnuta na tle walk wznawczych Węgrów z Austrią oraz krwawych nieporozumień między Węgrami i Serbami.

Otrzymaliśmy dalsze tomy pism Stefana Żeromskiego, pod redakcją prof. Stanisława Pignonia, a więc dramaty „Sułkowski“ i „Turon“, Tom pism XXI i „Dumę o hetmanie“ Tom III.

„Czytelnik“ wydał również nowe książki współczesnych autorów polskich: Adolfa Rudnickiego „Palczka czyli każdemu to na czym mu mniej zależy“, Powieść ta wywołała żywy ogłos wśród krytyków marksistowskich. Juliusza Żuławskiego „Sierzydła Dedala“, Stanisława Zie-



PATRYK

# Plagiaty literackie

BENEDYKT

Benedykt — pisze właśnie wikli-  
we studium o potrzebie okrucień-  
stwa, gdy nagle dzwoni telefon. Cich-  
nie melodia nadchodzącego zdania,  
wiednie linia myśli, nastrój kołuje  
i opada. Benedykt ujmując słuchaw-  
kę. Na dnie ebonitowej czerni roz-  
migły, kobiecy głos. Nieciekawia  
konwencjonalna rozmowa. Benedykt  
oponuje zniecierpliwienie i z do-  
brze udaną radością umawia się  
dziś na 6-ta w kawiarni. Dopiero  
po chwili przypomina sobie, że dzi-  
siał po południu miał tłumaczyć no-  
wele, na którą od dwóch miesięcy  
czeka redakcja.

W opinii licznych znajomych Be-  
nedykt jest uosobieniem uprzejmo-  
ści. Benedykt bowiem nigdy nie od-  
mawia, wystarczy powiedzieć: „Słu-  
chaj Ben mam do ciebie wielką pro-  
śbę” — już uśmiecha się i kiwa przy-  
zwalałając głową. Zresztą nie tylko  
w stosunku do znajomych, ale także  
zupelnie obcym czasem aż natrętnie  
deklaruje swoją bezinteresowną go-  
towość.

Benedykt bardzo cierpi na brak  
kompozycji w życiu i może dlatego  
właśnie nade wszystko ceni ją w  
literaturze. Jest w całości wydany  
na łup ludzi, którzy powierzają mu  
swoje wielkie sprawy i małe sprawa-  
wunki.

Poza tym Benedykt jest idealnym  
powiernikiem zwłaszcza zawiędzio-  
nych kobiet. Jest nieoceniony w  
chwilach, gdy szuka się człowieka,  
który nie pyta, nie radzi, ale mi-  
czy i współczuje. Z takich wyznań  
można napisać niejedną powieść. Na  
szczęście w tym wypadku pokusa nie-  
dyskrecji jest słaba, gdyż Benedykt  
jest poetą i esesistą, to znaczy upra-  
wia sztukę pięknie odległą od pro-  
stych doświadczeń życia.

Ta niestanna gościnność wew-  
nętrza, chorobliwa gotowość poświęca-  
nia się mają wszelkie cechy śla-

bości. To co jest tylko konwenan-  
sem, obsesją uprzejmości — mogło by  
być enotą. Ale na to potrzebna jest  
siła, bezwzględność wyboru i odro-  
bina okrucieństwa.

Niechętni Benedyktowi zarzucają  
mu wewnętrzne batamucenie, duchow-  
wą chińszczyznę. Ale jest w tym  
jeszcze więcej niewyżytej uczuciowo-  
ści chłopca, który nie potrafi sku-  
pić rozsypanych gestów czułości,  
uśmiechów, zyczliwych słów i pocie-  
szających listów w jedną prawdziwą  
męską miłość.

Ale oto Benedykt zakochał się. Zło-  
śliwi mówią, że zakochał się przez  
grzeszność. To rzuca na jego uczucie  
głęboki cień. Mądra i dobrą dziew-  
czynę, która kocha go mocno, po pro-  
stu męczą niezrozumiałe wywody Be-  
nedykta o miłości jako ofierze. Nie  
rozumie dlaczego mają się wciąż wy-  
rzekać i po co komplikować sprawy  
w istocie proste.

Benedykt, który topnieje z nie-  
przeczuwalnego szczęścia, nęka myśl,  
że jego miłość nie jest chrześcijań-  
ska, skoro żąda wyłączności, skoro  
każe mu być egoistą.

Po pierwszej scenie ze łzami Be-  
nedykt postanawia wyjechać do inne-  
go miasta, którego jedynym wrokiem  
jest to, że nikt go tam nie zna. Wy-  
jeżdża bez pożegnania, z całą świa-  
domością haniebną ucieczki. Postan-  
awia żyć w absolutnej samotności,  
służąc bezimiennie przyjacielom ra-  
czej swoją sztuką, niż uczynnością i  
wątpliwą znajomością życia.

W przedziale siedzi gruba pani.  
Je bez przerwy słodka, krusząca się  
bulkę. Wygląda raczej niesympa-  
tycznie, ale kiedy w zausaniu zaczy-  
na powierzać Benedyktowi swoją  
skomplikowaną sprawę sądową...

Na trzeci dzień pobytu w obcym  
mieście, idzie Benedykt z bukietem  
kwiatów odwiedzić swoją przygodną  
znajomą, gdyż wpadł właśnie na  
świecny pomysł wybawienia jej z kło-  
potów. I wtedy zupełnie nie pamie-

ta o swoim ślubie samotności i nie-  
dokończonym studium o potrzebie  
okrucieństwa, o koniecznej porcji  
bezwzględności, niezbędnej zarówno  
w świadomej sztuce, jak i w dobrym  
życiu.

TYMON

Katy ust Tymona — składy go-  
ryczy. W nich zawiera się pokrótce  
historia jego zmarnowanego życia.  
Za młodu studiował historię sztuki.  
Napisał nawet ciekawą pracę (nie-  
drukowaną), która zwróciła na nie-  
go uwagę jego mistrzów: „Ewolu-  
cja liścia akantu w gotyckich ka-  
tedrach północnej Francji” (przy-  
czynek do dziejów ornamentyki). Na  
rok przed ukończeniem studiów umia-  
na odwet, na ostateczny piękny gest,  
który przekaze go potomnym takim,  
jakim chciał być, a nie takim, jakim  
zrobiło go życie.

Praca jego i poświęcenie poszły  
na marnie. Jeden z braci (najzdolniej-  
szy) utopił się, drugi uciekł do Ame-  
ryki i nie przyznawał się do rodzi-  
ny (podobno zresztą powodziło mu  
się doskonale). Jedną z siostr wysłał  
fatalnie zamąż. Mąż uciekł od niej  
zostawiając jej furę dzieci. Matka  
umierała długo na jakąś skompliko-  
waną chorobę w kosztownym zakła-  
dzie leczniczym.

Tymon z rozpaczą ożenił się z za-  
hukana biedną dziewczyną, która nie  
rozumiała ani jego, ani dzieci, ani  
ich domu, w którym czuła się jak  
przygarnięty kot. No cóż — kończył  
Tymon każdą próbę nawiązania kon-  
taktu z żoną — ty jesteś biedny tu-  
man. W tych słowach była łagodna  
rezygnacja oraz iskierka czułości.

Tymon (tutaj schylił głowę) po-  
został mimo wszystkiego wierny pa-  
sion naukowym. Prenumerował opa-  
sły kwartalnik historyków sztuki,  
czytał dość dużo, zapisywał mace-  
kiem dziesiątki zeszytów jakimiś  
streszczeniami, polemikami, projek-  
tami prac, które zresztą zaginęły do  
szczęście w czasie wojny. Nie zostało  
to jednak odnotowane dokładnie w  
żadnym wykazie strat kultury.

Po wojnie osiedlił się Tymon z ro-  
dziną w małym miasteczku M. na  
Warmii. W M. była wspaniała ka-  
tedra gotycka. Taka ponad stan, jak  
by przywieziona na pokaz ze stoli-  
cy, urągająca i obojętna wobec bied-  
nego otoczenia. Tymon zajął się ka-  
tedrą, jej dziejami, katalogował za-  
bytki, grzebał w źródłach.

Zdarzyło się, że do M. przyjechał  
profesor historii sztuki, sława i w  
dodatku z Krakowa. Po dwu miesią-  
cach czytał Tymon artykuł owego  
profesora w kwartalniku.

W następnym kwartalniku wydru-  
kowano list Tymona do redakcji pro-  
stujący pomyłki i niedokładności.  
Sprawa miała pozory wielkiego skan-  
dalu naukowego. Jakiś człowiek z  
prowincji o nieznanym nikomu naz-  
wisku poucza profesora. Każdy są-  
nisty ustęp zaczynał się od złośliwo-  
ści w stylu: „gdyby pan profesor  
mniej ufał swojej erudycji a okazy-  
wał należny szacunek źródłom” lub  
„można było by łatwo uniknąć tych  
przykrych pomyłek zasiągnąwszy in-  
formacji u pierwszego lepszego czło-  
wieka z naszego miasteczka. No, ale  
na to trzeba się było zniżyć do po-  
ziumu tubyleców” etc. A właściwie  
odrzucając stylizację i ten planowa-  
ny od lat odwet, wszystko w liście  
Tymona było blahe i bezsilnie przy-  
czynkarskie, chodziło tylko o nie-  
istotne drobniaczki, parę przekreślonych  
dat, o pominięte szczegóły bez zna-  
czenia.

W kilka miesięcy po tym wielkim  
dniu Tymon umarł. Kwartalnik po-  
dał krótką wiadomość w dziale „Z za-  
łobnej karty”. Obok nazwiska Tymona  
napisano „historyk sztuki z M.”

I nie wiem doprawdy, czy był to  
spóźniony hold, czy niestosowny żart.  
Wiem tylko, że gdyby ludzkie uczu-  
cia miały teraz dostęp do Tymona,  
patrzającego już na świat z perspek-  
tywą wieczności — fakt ten napel-  
niłby go nową odmianą goryczy.

Patryk

# NEOMALTUZJANIE

(dokończenie ze str. 2-giej)

nieje zasadnicza różnica. Celem gos-  
podarki kapitalistycznej jest pie-  
niądz, zysk jednostki. Produkcja i  
handel są tylko środkami do osią-  
gnięcia tego celu. Kapitalizm popiera  
w wysokim stopniu planowanie w ra-  
mach przedsiębiorstwa obliczone na  
zwiększenie zysku, natomiast kate-  
gorycznie sprzeciwia się planowaniu  
w skali społecznej, które redukuje  
zyski. Stąd każde planowanie w gos-  
podarce kapitalistycznej musi pro-  
wadzić do zysku i wyzysku, chociaż  
by osiągnięcie zysku było obliczone  
na bardzo długą metę. Plan Marshal-  
la i wypadki w Azji są tego niezbi-  
tym dowodem.

Celem gospodarki socjalistycznej  
jest produkcja dóbr dla zaspokojenia  
potrzeb szerokich warstw ludno-  
ści i sprawiedliwy ich podział. Pie-  
niądz i handel są jedynie środkami  
wymiany i podziału. Planowanie gos-  
podarce jest integralną częścią sys-  
temu socjalistycznego, który nie tyl-  
ko stworzył specjalne do tej pracy  
instytucje, ale i dał im władzę wpro-  
wadzania tych planów w życie.

Cywilizacja XX wieku opiera się  
na organizacji społeczno-gospodar-  
czej, której cechami najistotniejszymi  
są: podział pracy i wzajemna wy-  
miana usług — między jednostkami  
i grupami społecznymi, między pań-  
stwami i narodami, między wsią i  
miastem, między ośrodkami przemy-  
słu i źródłami surowców. Im wyż-  
szy poziom cywilizacyjny tym dalej  
idący podział pracy, tym dalej posu-  
nięta wymiana usług i coraz bardziej  
precyzyjna organizacja społeczna.  
Cały nasz dobrobyt opiera się na po-  
dziale, organizacji i koordynacji pra-  
cy. Cała różnica między ustrojem  
socjalistycznym i kapitalistycznym  
sprowadza się do tego czy wzajemna  
wymiana usług ma być oparta na  
równości czy wyzysku.

Wyrok Nemezis dziejowej na  
świat wyzysku został już wydany.  
Wykonanie jego jest tylko kwestią  
czasu. Możemy śmiało patrzeć w  
przyszłość i planować lepsze jutro  
dla następnych pokoleń. Pokój zwy-  
cięży wojnę, ale nie spadnie na nas  
z nieba. Musimy o niego walczyć —  
może długo, na pewno uporczywie.

Ofenzywa pokojowa na froncie po-  
litycznym obejmuje już świat cały.  
Z kolei trzeba się przenieść na front  
gospodarczy.

Czyż naród polski, który przez  
swoje położenie geograficzne jest  
najbardziej zainteresowany w utrzy-  
maniu pokoju, naród, który w ostat-  
niej wojnie stracił 5 milionów lud-  
zi, nie powinien wnieść pozytywnego  
wkładu do wielkiej ofensywy poko-  
ju? Warszawa, którą już sam wy-  
gląd czyni miastem podwójnej sym-  
boli — obok gruzów, widomych pa-  
miątek zniszczenia wojennego wspa-  
niałe gmachy pokojowej odbudowy  
— pokazała w latach 1939 — 1944,  
że walczyć umie. Niechże w 1950 r.  
stanie w pierwszych szeregach bojo-  
ników o pokój! Niech rzuci hasło of-  
ensywy pokojowej na froncie gospo-  
darczym!

Pierwszym wkładem w tę żmudną  
i, zdajemy sobie sprawę, do bardzo  
odległego dążącemu celu — pracę powin-  
na być światowa Rada Żywnościowa  
i teoretyczna doktryna planowej pro-  
dukcji i podziału środków żywności  
w skali światowej. Brak takiej dok-  
tryny był jednym z powodów dla  
którego FAO stało się narzędziem  
w rękach Departamentu Stanu.

Przy dzisiejszym przyroście 1%  
rocznie w drugiej połowie XX wieku  
mieszkańcy Ziemi przekroczyły cyfrę  
3 miliardów. Specjalna komisja Or-  
ganizacji Narodów Zjednoczonych  
obliczyła, że dla wyżywienia tej cią-  
gle wzrastającej rzeszy ludzkiej pro-  
dukcja środków żywności, musi być  
podwojona w ciągu 25 lat. Na razie  
sytuacja przedstawia się tak, że pro-  
dukcja ta nie osiągnęła jeszcze poziomu  
przedwojennego. Sprawa wyży-  
wienia tej ciągle wzrastającej masy  
ludzkiej jest zagadnieniem znacznie  
ważniejszym niż bomba atomowa,  
wodorowa i wszystkie inne, które bę-  
dą jeszcze wymyślone. Zagadnienie  
to nie może być rozwiązane inaczej  
jak przez gospodarkę planową w ska-  
li światowej. Pamiętajmy, że kreśli-  
my dziś plany i kładziemy podwal-  
ny pod przyszłość bardziej odległą  
niż możemy to sobie wyobrazić.

Mateusz T. Milewski

Krystyna KONARSKA-ŁOSIOWA

## Ty wiesz

Do ciebie piszę, o miedzianokóry,  
z ramionami, które odbijają słońce  
za skafandrem szkieł

— jak nurek  
ukrywasz oczy

(kto wie jakie perły

wylawiasz z czasu mgieł).

Ręce twoje dygoczą na olbrzymim świdrze,  
jakby rozewrzeć chciały wnętrze ziemi,  
w upale, jak za zasłoną płomieni,  
stoisz — posąg ze spiżu.

Widziałam go chwilę przez okno tramwaju,  
teraz siedzę wśród drzew, nad rzeką,  
i myślę — trudno jest poznać człowieka,  
i trudno zaznać spokoju.

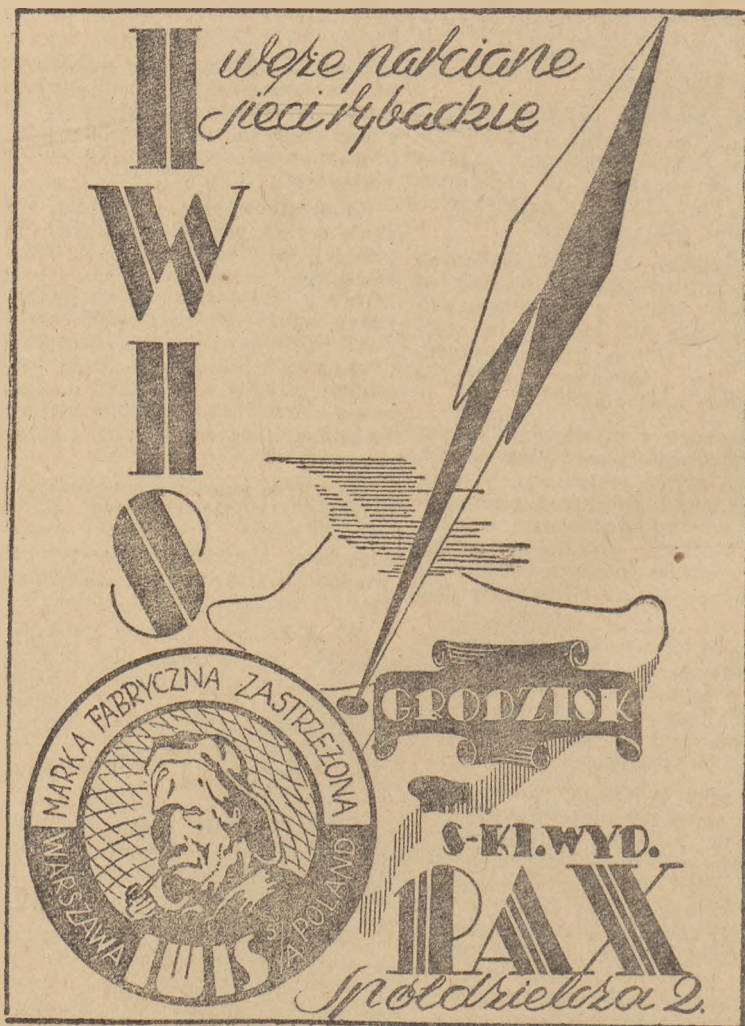
Mówię mu — ptaki, wiesz, nad wodę w zaroślach, jak lutnie  
i rzeka w złotych kołach, jak cyganka tańczy na piasku,  
Tu możesz lekko nad głowę brązowe ramiona unieść  
i plusnąć w wodę zieloną, nie plusząc nawet ptaków.

Tu wszystko czeka na ciebie — świdrem drążący kamień,  
Potężne dęby nad rzeką szykują ci swe laury  
i gdy, Hefajstos płomienny, wśród drzew zielonych staniesz  
ziemia, powietrze i woda oddadzą ci swe skarby.

Więc czemu nieugięty, w upale co razi jak piorun,  
wszczepiony zgrzytem świdra w kamienną powłokę ziemi,  
nie dasz się unieść fali, jak łódka z brunatnej kory  
i nie przystonisz oczu zielonym liści cieniem.

Skąd siłę masz, by nawet w stu słońc pożarach stanąć,  
że cię nie skusi woda chłodem ni laurem dęby

Ty wiesz — że każdym drgnieniem świdra budujesz zręby  
Sześćdziesięcioletniego planu.



Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyński, Konstanty Łubieński, Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szwykowski.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p. Konto PKO — Nr 1-727

Sekretarz redakcji przyjmuje: eodzieinnie, prócz wtorków i czwartków godz. 12 — 13.

W y d a w c a : Kolegium Redakcyjne. Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalnie 180 złotych.

Druk. Skolimowska 5.

B-126424